

Nr.
13 LUTEGO 1938
CENA 40 GROS

Ewa „fin de siècle

Mae West z ulubionym do

KULIG MOSPANIE!



Fragment staropolskiego kuligu (według obrazu. Al. Mroczkowskiego).

Kulig dzisiejszy nie ma w sobie nic z tych dawno minionych bezpowrotnie, a może i zapomnianych już staropolskich zabaw szlacheckich. Wspólna jest chyba tylko nazwa jego i pora zimowo.

Kulig staropolski, zwany inaczej także szlichtadą, sięga czasów, kiedy gęściej rozsiadły się dwory i dworki szlacheckie w Wielkopolsce i Małopolsce. Zastępował nieznane w tych czasach, dzisiejsze zabawy karnawałowe. Corocznie w zapusty, gdy sanna dopisała, w każdej prawie okolicy czy powiecie urządzano kulig. Młodzież rej wiodąca w okolicy układała plan kuligów, a do narad tyh wciągano niekiedy dziewczęta i młode mężatki. Ustalano miejsce skąd kulig zacząć, jakim miał pójść szlakiem, a zabrawszy wszystkich, gdzie zakończyć zabawę. Narady te osłonięte były największą tajemnicą. W niej też leżała po części emocja zabawy, gdy niczego nie spodziewających się gospodarzy, najeżdżał korowód kilkudziesięciu sań. Układając plan kuligu, starano się mieć wszystko i wszystkich na oku, tak, aby nie ubliżyć aani ubogiemu szlachcicowi przez pominięcie jego podwoi, lub też niepotrzebnym hałasem nie zakłócać żałoby.

W oznaczonym dniu zbierała się młodzież u swego przywódcy. Ambicją każdego było mieć kształtny zaprzęg, rosłe konie, pięknie ozdobione saneczki i dobrze dobranych pachołków. Ze zmrokiem, przy świetle kagańców, przy brzęku dzwonków i muzyki, tentencie kopyt końskich, okrzykach i śpiewie ruszano zwykle w najbliższy dom, gdzie dużo było dziewcząt, albo gdzie je już zaproszono z najbliższego sąsiedztwa. Kiedy zajeżdżano na dziedziniec, kapela najhuczniejszemi tonami, a woźnice trzaskaniem z biczów oznajmiali niespodziewanych gości. Gospodarz wychodził na ganek witając gości, zapraszał, wprowadzał do wnętrza. Tu po wstępnych powitaniach zaczynały się tańce, przerywane wychylaniem kielichów na zdrowie uprzejmego i łaskawego gospodarza, jego rodziny i dobrych sąsiadów. W ten to sposób gospodarz urozmaicał gościom czas pozostający do wieczerzy, którą na prędce starała się przyrządzić gospodyni. Nie przychodziło jej to znów tak trudno. Do pomocy miała liczną służbę, a co najważniejsze dobrze zaopatrzoną w zapasy na zimę spiżarnię. Tak więc przy niewielkim sprycie energji, której nigdy nie brakowało naszym gospodyniom, wieczerza była kwestją krótkiego tylko czasu Niekiedy nie zdążono przetańczyć jeszcze całego poloneza nawet, a tu już proszono do stołu. Po obfitej kolacji następowały znów śpiewy i tańce, do białego nieraz dnia. O spoczynku nikt nie myślał, bo też i nie było nań miejsca ani czasu. Choć dwory dawne były obszerne, trudno było pomieścić wygodnie tylu naraz gości.

Tymczasem w domu przysposobiono śniadanie a czasem i obiad, po których wybierano się w dalszą podróż. Goście zabierali z sobą rodzinę gospodarza. Jeżeli nie wszyscy mogli jechać, to zabierano przynajmniej żonę z córkami, ruszając z kolei w dom następny, zabierając stamtąd znów gościnnych gospodarzy. Tak więc powiększał się kulig coraz bardziej. Przybywało panien, mężatek, coraz więcej młodzieży, sanek, ochoty humoru, temperamentu. A gdzie gospodarz był majętniejszym tam kilka dni bawiono. Nigdy jednak nie zapominano o dniach świątecznych. W dnie te beztroski humor, który nie opuszczał nikogo w czasie całego kuligu, ustępował miejsca powadze. Z rana jechano na nabożeństwo do najbliższego kościoła. Resztę dnia poświęcano wzajemnym odwiedzinom, rozmowom, żarcikom i różnym grom towarzyskim. Czasem obmyślono polowanie, zwłaszcza gdy w kniei pojawił się niedźwiedź. Łowom towarzyszyły często kobiety.

Tam imieniny, tu urodziny lub inna jakaś okoliczność była okazją do odwiedzin. Odgłos zaczętej zabawy rozchodził się po okolicy, ostrzegał każdego, że i do niego zawitać może ta szarańcza swawola. Zmuszał do baczniejszej uwagi, zwłaszcza gospodynie, bo na ich barkach spoczywał ciężar uraczenia mało zresztą wymagających i względnych na stan każdego najezdników. Był to przecież dług wzajemności. Łącząc się z tem gronem w chwilach mile spędzonych, gościnności doznawało się wszędzie. Bawił się każdy, sędziwy szlachcic obok młodego. Tu ostrzeżono wcześniej, tam wpadano znienacka, to w zwykłych, to w najstrojniejszych ubiorach, to w zręcznie dobranych kostjumach (w takich jednak razach, wpadał pierwszy arlekin kuligowy z trzepaczką i śpiewem: kulig! kulig! kulig!).

Czasem zdarzył się po drodze dom, w którym spodziewano się niezbyt ochoczego przyjęcia, wtedy uczestnicy kuligu zatrzymywali się niedaleko, a do dworu posyłano osoby najmilsze gospodarzom. Za nimi wkrótce zjawiały się drugie sanie, po nich trzecie, następne, coraz więcej, wkońcu wszystkie. Kulig ułatwiał kojarzenie stosunków sąsiedzkich, jednemu dał sposobność załatwienia sporów, tamtemu możność naradzenia się w ważnych niekiedy sprawach. Ale młodzież przedewszystkiem młodzież, odnosiła najwięcej korzyści. Kulig — zabawa szlachecka, kipiąca wesołością i szczerotą staropolską, dawał tej młodzieży najwięcej zadowolenia. Gdzież bowiem, jak nie na kuligu znajdowała ona najwięcej okazji zbliżenia się do płci pięknej, roztaczania nad nią swej opieki i wyświadczania jej grzeczności? Ileż to takich właśnie spotkań kuligowych przerodziło się potem w związki małżeńskie!

Im krótszą stawała się chwila zabawy, tem więcej starano się z niej korzystać. Dla większej uciechy przebierano się za żydów, cyganów, olejkarzy, chłopów, dziadów, wiejskie baby, naśladując przy tem ich ruchy i mowę. W ostatni wtorek, najwymowniejszy i najdowcipniejszy przebierał się za księdza, włożywszy koszulę zamiast komży, a stułę pasem zastąpiwszy. Tak ubrany stawał w kącie pokoju na stołku przysłoniętym kobiercem, niby ambonie, skąd do zgromadzonych mówił wesołe kazanie na pożegnanie zapustu.

Ludwik Clermont, sekretarz królowej Marji, „Marysieńki", żony Jana III., przekazał nam opis kuligu, jaki odbył się na dworze królewskim u schyłku XVII wieku. Zaproszone nań znakomite osoby zjechały najprzód do pałacu Daniłłowiczów. O godz. 3-ciej po południu trębacze dali sygnał i cały imponujący i wspaniały orszak ruszył następującym porządkiem: 24 tatarów ze służby królewicza Jakuba jechało przodem, za nimi 10 sań czworokonnych wiozło muzykę, na każdych saniach inną. Na jednych jechali żydzi z cymbałami, na drugich kozacy z teorbanami, to znowu janczarowie, trębacze, fajfry i inni zebrani z różnych stron i dworów magnackich, z których każdy utrzymywał nadworną kapelę. Za tą różnorodną orkiestrą jechało na ćwierć mili długim korowodem 107 sań zaproszonych gości. Ekwipaże te okryte perskiemi kobiercami, lamparciemi i sobolowemi futrami, zaprzężone były w cugi strojne w pióra, czuby i kokardy. Na każdych saniach jechało po kilka osób obojga płci, a wokoło sań młodzież dworska konno. Trudnoby dać pierwszeństwo którymkolwiek z zaprzęgów, bo wszystkie celowały doborem koni, cennością futer i liberją hajduków. Na końcu były sanki w kształcie pegaza z ośmiu młodzieńcami, którzy deklamowali wiersze, ułożone dawniej przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. Zamykał tę paradę oddział drabantów. Wszyscy goście zajechali najpierw do dworu sapieżyńskiego, potem do księżny Radziwiłłowej, siostry króla Jana III, następnie do wojewody Potockiego, zkolei do młodego ks. Lubomirskiego, do pana kasztelana Lubelskiego i do Ujazdowa. Gdzie tylko przybyli zaraz staropolskim zwyczajem gospodarz oddawał im klucze od piwnicy, a gospodyni od spiżarni, gdzie każdemu z gości wolno się było raczyć do woli przygotowanymi przysmakami. — Wszędzie brzmiała huczna kapela, tańczono chwilę i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, gdzie oboje królestwo Ichmoście podejmowali wszystkich gościnnie. Częstowano nietylko gości, ale i służbę do późna w noc, wśród której cały orszak wrócił potem przy świetle 800 pochodni do miasta.

Dokończenie na str. 31-ej

Mgr. Br. Cetera.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy. szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 7 | **Niedziela, 13 lutego 1938** | **Rok IV**



Fot. „As"

Jego Wysokość Regent Węgier, Admirał Mikołaj Horthy de Nagybànya bawił w Polsce jako Gość Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Prof. Ignacego Mościckiego. Kraków zgotował Regentowi Węgier gorące przyjęcie. — Na zdjęciu: Admirał Horthy w towarzystwie Pana Prezydenta R. P., Marszałka Śmigłego-Rydza, posła węgierskiego w Warszawie de Hory'ego, ministra J. Becka i in. opuszcza dworzec kolejowy w Krakowie, witany przez dziatwę w strojach krakowskich.



Raut na Wawelu

Czy otrzymał pan zaproszenie na Wawel? W jakiej sukni wybiera się pani na raut? Kto będzie na galowym obiedzie?



J. W. Regent Horthy na raucie w rozmowie z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem w sali „Pod Ptakami" na Wawelu. W głębi: Pan Prezydent R. P. z adjutantem kpt. Kryńskim.

Te i tym podobne pytania krążyły, jak wielkie stado uporczywych much po salonach, restauracjach, kawiarniach krakowskich, wywołując u jednych zaciekawienie, u innych konsternację, u jeszcze innych ciche zadowolenie. Tworzyły się grupy, koła i kółeczka: tych, którzy dopiero co dowiedzieli się, że jakiś raut wogóle ma się odbyć na Wawelu — tych, którzy od szeregu dni nadaremnie czekali na nadejście zaproszenia z Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta R. P. — wkońcu tych, którzy to zaproszenie otrzymali i czuli się już zabezpieczeni, obserwując nie bez cienia złośliwej radości, że ich znajomych wyprowadza z równowagi fakt, iż o nich właśnie zapomniano tam... w Warszawie!

Tak to zwykle bywa przed każdą wielką imprezą o charakterze reprezentacyjnym. Ludzie formalnie dobijają się o udział w niej. Jedni uważają to za punkt honoru, drudzy za jeszcze jeden stopień do karjery, inni znów szukają okazji do zademonstrowania przed bliźnimi swych rozlicznych koneksyj. Słowem: polifonja rozmaitych uczuć i ambicyj. Ponad nią góruje jednak wspólne wszystkim: zaciekawienie. Ono to idzie w ślad za każdą najdrobniejszą wiadomością, dotyczącą takiego wielkiego przyjęcia — ono kieruje krokami uczestników w różnych fazach wieczoru, pobudzając uwagę wówczas, gdy w myśl programu lub ceremonjału przewija się przez sale barwny korowód dostojników, odbywa się cercle lub koncert.

Przyjazd do Krakowa J. W. Regenta Węgier, admirała Horthy de Nagybanya i Jego świty, stworzył między innemi i ramy wspaniałego przyjęcia na Wawelu. Poza śniadaniem w porze południowej, największe zainteresowanie wzbudził w sferach towarzyskich Krakowa i jego okolicy obiad galowy i raut. Pierwszy rozpoczął się z wybiciem godz. 20-tej, a brało w nim udział stosunkowo szczupłe grono złożone z 76 osób. Przy stole, ustawionym w podkowę w sali Senatorskiej, a ubranym bukietami róż i goździków, połączonych ozdobnym wzorem z gałązek laurowych, między którymi umieszczono kandelabry z zapalonemi świecami, zasiedli na miejscach honorowych: Pan Prezydent R. P. prof. Mościcki, J. W. Regent Węgier admirał Horthy, małżonka P. Prezydenta, pani Marja Mościcka, zaś naprzeciw Pan Marszałek Polski E. Śmigły-Rydz.

Kolejność dalszych miejsc koło Pana Prezydenta R. P. była następująca: p. ministrowa Beckowa, J. Eksc. p. de Uray, p. gen. Stachiewiczowa, p. min. gen. Kasprzycki, pani de Kristoffy, p. minister Kościałkowski, p. Karolowa hr. Romerowa, Metropolita ks. Sapieha, p. wicemin. hr. Szembek i p. wicemin. Bobkowski — koło małżonki Pa-



Na lewo: Zbroja husarska w sali Senatorskiej na Wawelu.

RYSUNKI ALFRED ŻMUDA KRAKÓW



Poniżej: Małżonka Pana Prezydenta R. P. pani Marja Mościcka (druga od prawej) w otoczeniu pań: (od prawej) ministrowej Romanowej, wiceministrowej hr. Szembekowej i ministrowej Beckowej.



W kole: W sali „Pod głowami" odbył się w czasie rautu koncert, któremu przysłuchiwali się: Regent Węgier, Pan Prezydent R. P. i Jego Małżonka, Marsz. Śmigły-Rydz, członkowie Rządu i zaproszeni goście.





Na prawo: Portal prowadzacy do komnaty, przylegającej do sali „pod Ptakami". — W głębi zbroja na tle arrasu.

na Prezydenta R. P. następująca: p. minister Kanya, p. ministrowa Kościałkowska, p. gen. Keresztes Fischer, p. ministrowa Bobkowska, p. minister Ulrych, p. gen. Narbutt-Łuczyńska, p. bar. Bakach Bessenyey, p. radczyni Zaniewska i p. gen. Głuchowski.

Po drugiej stronie stołu obok Pana Marszałka Śmigłego-Rydza zasiedli na lewo: p. min. Ulrychowa, poseł Węgier p. min. de Hory, p. gen. Głuchowska, p. minister Roman, p. gen. Kutrzebowa, hrabia Csaky, p. Aleksandrowa hr. Łubieńska i p. gen. Stachiewicz — na prawo zaś: p. min. Romanowa, p. minister Beck, p. Izabella hr. Szembekowa, p. minister Świętosławski, pani de Lengel, syn Regenta, p. Stefan de Horthy. p. prez. Kaplicka i p. gen. Berbecki. Na skrzydłach zajęli miejsca: p. płk. de Koss, ks. biskup Godlewski, p. gen. Narbutt-Łuczyński, p. admirał Unrug, p. Karol hr. Romer, p. płk. de Lengyel, p. mjr. de Nemeth, p. Al. hr. Łubieński, ks. kapelan Humpola, p. min. Orłowski, p. min. dr. Łepkowski, p. wojewoda dr. Tymiński, p. wojewoda dr. Grażyński, p. gen. Kutrzeba, p. prez. dr. Kaplicki, p. radca Zaniewski, hrabia Starzeński, Paweł hr. Morstin i inni.

Obiad, podczas którego Pan Prezydent R. P. i Regent Węgier wygłosili okolicznościowe przemówienia, przeciągnął się do godz. 21.20. Menu było następujące: Consomme à la Sevigne — Saumon de la Vistule (Sauce Genevoise) — Selle d'agneau garnie — Dinde Isabelle (Salade Manon) — Asperges (Sauce Mousseline) — Timbale glacee à la Parisienne — Chester Cakes — Dessert. W czasie serwowania dań orkiestra wykonała program, złożony: z Poloneza A-dur Chopina, „Rakoczy-marsza" Keller Beli, walca „Złoto i srebro" Lehara, pieśni Griega, „Echa z Polski" Wojciechowskiego, „Hungaria" potpourri Lepoldiego i Mazura z „Halki" Moniuszki. Czarną kawę podano już w sali „pod Ptakami", gdzie dostojni goście spędzili czas aż do wejścia na sale rautowe.

Sam raut rozpoczął się o godz. 22 i zgromadził ponad 800 osób. Wjeżdżając na Wawel, przypatrywałem się nie bez cienia dumy malowniczo oświetlonym fragmentom Katedry, której wyniosłe wieże i rozłożyste kopuły tworzyły na tle wyiskrzonego nieba niespotykaną scenerję, pełną dostojeństwa i wiekowej zadumy. Na dziedzińcu arkadowym, również pomysłowo oświetlonym, rozłożyły się, niczem podczas defilady dziesiątki reprezentacyjnych samochodów, których metalowe okucia i lakier karoseryj lśniły w promieniach reflektorów, ukrytych na krużgankach...



Dokończenie na str. 18





Na prawo: Pan Prezydent R. P. prof. Mościcki wygłasza okolicznościowe przemówienie w czasie obiadu, wydanego na cześć Regenta Węgier na Wawelu.



Gniazda termitów przypominają dziwaczne szczyty górskie w miniaturze.

ZE ŚWIATA OWADÓW:

ŻYCIE TERMITÓW.

Termity, podobnie jak pszczoły i mrówki, obdarzone instynktem społecznym, żyją gromadnie, a społeczeństwa ich zależnie od gatunku, liczą setki, tysiące a nawet i miljony mieszkańców. W podzwrotnikowych krajach Ameryki, Afryki i Australji wznoszą się liczne budowle tych ciekawych owadów, nadając niekiedy charakterystyczne piętno krajobrazowi. Z daleka olbrzymie gniazda termitów sprawiają wrażenie osiedli tubylców. Zdają się tworzyć całe wioski, złożone z licznych chatek. — W rzeczywistości zdarza się, że gniazda termitów przewyższają nawet swemi rozmiarami mieszkania krajowców.

Zależnie od gatunku termitów gniazda ich są prymitywne lub wzniesione z pewną pomysłowością i wykazują dużą różnorodność zarówno co do miejsca założenia, jak i pod względem kształtu i rodzaju materjału budulcowego.

Gniazda termitów mogą być podziemne, lub, co najczęściej się zdarza, na powierzchni ziemi, a nawet przytwierdzone do gałęzi drzew. W budowlach termitów przejawia się pewien „styl", odrębny dla poszczególnych gatunków, stąd też wielka rozmaitość w wyglądzie gniazd.

Są wśród nich olbrzymie kopce, osiągające wysokość kilku a nawet kilkunastometrową, o szerokiej podstawie, lub wyniosłe budowle, które strzelają w górę, niby wysmukłe minarety, są też gniazda piramidalne, wzniesione na trójkątnej podstawie, nie brak również form kopulastych, a także gniazd, przypominających swym wyglądem grzyby kapeluszowe.

W Australji pd. interesującemi są gniazda tak zwane kompasowe, które węższą swą stroną zwrócone są na północ i południe, szerszą zaś na wschód i zachód. Kierunek ich tak zgodny z kierunkiem igły kompasowej, może posłużyć człowiekowi w zorjentowaniu się w stronach świata. Ten układ gniazd nie jest bez znaczenia dla ich mieszkańców. Chroni ich bowiem przed zbytnią insolacją, gdyż na najsilniejsze działanie słońca wystawione są tylko wąskie ściany budowli, o najmniejszej powierzchni.

Do najprymitywniejszych gniazd należą drążone w ziemi, najchętniej pod kamieniami lub też w drewnie. Drzewo napozór zdrowe, w rzeczywistości jest poprzecinane licznemi korytarzami, w których mieszkają termity. Gniazda nadziemne zbudowane są z materjału, przypominającego masę papierową lub nawet cement bardzo twardy. Otrzymują je termity bądź to z doskonale przeżutego drewna, bądź też z ziemi, zarobionej śliną. Z zewnątrz gniazda pokryte są twardą, nieprzemakalną warstwą, która chroni wnętrze budowli oraz jej mieszkańców przed szkodliwem działaniem czynników atmosferycznych, a także stanowi doskonałe zabezpieczenie przed wrogami, których termitom nie brak. — Szczególnie polują na nie liczne mrówki wędrowne oraz chrząszcze, dla których miękkie ciało termitów stanowi nielada kąsek. Czychają na nie jaszczurki, z pośród których pewne gatunki składają jajka do gniazd termitów, a wylęgające się z nich młode, czynią znaczne spustoszenie wśród owadów, które dały im schronienie. Chętnie żywią się termitami różne ptaki, a także niektóre ssaki. W Ameryce pożerają je w dużych ilościach mrówkojady i pancerniki, w Indjach amatorami termitów są łuskowce, a w Australji gustują w nich kolczatki.

Termity nazywane są także bielcami lub białemi mrówkami z tego względu, że większość ich ma barwę białą, gdyż jest uboga w barwik lub wcale go nie wytwarza. Z tą niezdolnością tworzenia się barwika łączy się u nich zanik oczu i ślepota. Termity te nigdy w dzień nie opuszczają swego gniazda, lecz pracują w ciemnych korytarzach i komorach swych budowli. Termity zaś ciemno zabarwione, mają oczy działające normalnie.

Podobieństwo termitów do mrówek jest uderzające, jeżeli wziąć pod uwagę życie gromadne i podział na kasty, których przedstawiciele spełniają wyznaczone funkcje. — Para królewska podtrzymuje ród termitów, robotnice zajmują się budową gniazd, ich naprawą, pielęgnowaniem potomstwa, gromadzeniem pokarmu. Wśród żołnierzy można wyróżnić osobniki o różnej wielkości. Większe z nich bronią granic państwa i w razie niebezpieczeństwa odpierają wroga, mniejsze pełnią czynności policyjne wewnętrznej, czuwają nad porządkiem w gnieździe, niekiedy jako strażnicy, śledzą przebieg pracy u robotnic, nagląc je lub nawołując do porządku przez dotykanie czułkami. Niekiedy żołnierze mogą spełniać czynności robotnic. W niektórych gniazdach oprócz żołnierzy, mogą występować jeszcze tak zwani „nosacze", którzy odznaczają się dużą głową, przedłużającą się ku przodowi w rodzaj nosa. Na jego końcu znajdują się gruczoły, z których wydzielana lepka ciecz ma zastosowanie zarówno przy budowie gniazda, jak też i przy powstrzymaniu atakującego nieprzyjaciela. Wiedzione nakazem instynktu, termity zachowują się tak, jak gdyby kierowała nimi inteligencja, w czem przypominają bardzo mrówki i pszczoły, chociaż w układzie systematycznym zajmują niższe od nich miejsce.



Zależnie od funkcyj, spełnianych w państwie termitów, posiadają one różne postacie. Oto widzimy od lewej: 1 i 3. dwa gatunki termita-żołnierza, 2. termita-robotnika, 4. bezskrzydłego samca, 5. samicę-królowę, 6. termita-żołnierza, uzbrojonego w potężne szczęki.

Charakterystyczne gniazdo termitów w podzwrotnikowej Afryce.



Ciekawy widok przedstawia wnętrze gniazda termitów o wyższej organizacji. Sam środek gniazda zajmuje „komora królewska", w której przebywa królowa wraz ze swym małżonkiem. Stąd bierze początek życie wszystkich mieszkańców olbrzymiego gniazda. Królowa dochodzi do znacznych rozmiarów, osiągając długość nawet dziesięciu centymetrów, gdyż odwłok jej nabrzmiewa od wielkiej ilości jajeczek. Samiec, w porównaniu do królowej-olbrzymki, jest karłem. Dokoła pary królewskiej krząta się świta. To robotnice przynoszą pokarm lub czyszczą starannie swych władców. Niektóre z nich odbierają jajeczka i czyszczą je, a następnie zanoszą do „komór dziecięcych", biegnących wokół komory królewskiej. Muszą się spieszyć i dość napracować, gdyż jajeczek tych składa królowa kilkadziesiąt w ciągu minuty. Nie brak i straży przybocznej. Stanowią ją żołnierze o wielkich głowach i potężnych szczękach, gotowi każdej chwili do rozszarpywania intruza. Dalsze komory, umieszczone w warstwach, przebiegających koncentrycznie, zajmują starsze już larwy lub dorosłe potomstwo, niektóre z nich wreszcie są przeznaczone na ogródki, w których rozwijają się grzyby. Robotnice, będące ogrodnikami, bardzo staranne

utrzymują podłoże, na którem rozwija się grzybnia, zmieniając je od czasu, aby się hodowla powiodła. Grzybki służą za pokarm larwom, a także i mieszkańcom starszym, zwłaszcza w porze obfitych podzwrotnikowych deszczów, gdy o inne pożywienie trudno. W gnieździe są również specjalne korytarze wentylacyjne, które służą do przewietrzenia i wprowadzenia świeżego powietrza do głębszych warstw.

Prócz pracowitych mieszkańców w gnieździe termitów, spotyka się także gości, najczęściej z pośród chrząszczy, lub przedstawicieli muchówek i pszczołowatych, którym tem łatwiej dostać się do domostwa termitów, że upodabniają się do nich i nie wykazują w zewnętrznym wyglądzie wybitniejszych różnic. Goście ci najczęściej są jednak ukrytymi wrogami termitów i za udzieloną im gościnność, odpłacają się czarną niewdzięcznością. Pożerają bowiem larwy swych gospodarzy, same wzamian nic im właściwie nie dając.

Człowiek bardzo niechętnie widzi te termity w swem sąsiedztwie. Szczękom ich bowiem, poza kamieniem i żelazem, nic się nie ostoi. Pożerają zarówno drewno jak skórę, materjały sukienne, papiery, książki, przyczem spustoszenie szybko postępuje. W przeciągu jednej nocy chatka tubylca może zostać doszczętnie zniszczona. Niebezpieczeństwo jest tem większe, że niszczycielska praca termitów jest niewidoczna. Toczą one wszelkie materjały od wewnątrz, zostawiając zewnętrzne ściany nienaruszone. Gdy jednak silniej trącić sprzęt, zaatakowany przez termity, rozsypuje się on w kawałki. Podobnie niszczą termity drzewa. Gdy dostaną się do wnętrza pnia i zaczną go drążyć, pozostanie po ich najściu jedynie tylko szkielet drzewa — jego zewnętrzna powłoka. Wewnątrz pień jest zupełnie pusty. Nic dziwnego, że silniejszem pchnięciem można drzewo obalić. Z relacyj podróżników wiadomo, że najście większej ilości termitów na obozowisko, może wyrządzić olbrzymie wprost szkody.

Z pośród kilkuset gatunków termitów, w Europie pd. występują zaledwie tylko dwa, wszystkie zaś inne związane są z krajami egzotycznemi. Znane są niektóre obszary podzwrotnikowe, w których gniazda termitów tak gęsto obok siebie są ułożone, że nadają krajobrazowi charakter pagórkowaty. W okresie lotu godowego ożywiają się te martwe pagórki i olbrzymie ilości uskrzydlonych samców i samic wylatuje w przestworze, tworząc nad gniazdami jakgdyby kłęby dymu.

W tych okolicach, gdzie termitów jest tak wiele, pełnią one rodzaj „służby zdrowia", która usuwa rozkładające się szczątki roślinne i zwierzęce i w ten sposób oczyszcza powietrze. — Dlatego mogą one stać się pożyteczne, chociaż w sąsiedztwie ludzkich osiedli uważane są powszechnie za gości niepożądanych i szkodników. Niektóre tylko ludy egzotyczne, dla urozmaicenia swej kuchni, zjadają termity, utrzymując, że są one wcale smaczne, w czem musimy im wierzyć na słowo. **Dr. Z. M.**



KĄCIK FILATELISTYCZNY

Straszna burza rozpętała się kilka miesięcy temu w filatelistycznym światku francuskim z okazji wydania znaczków t. zw. muzealnych. Otóż forma sprzedaży tych dwu znaczków za 30 i 55 centimów była dotychczas rzeczywiście niespotykana. Można je więc nabyć wyłącznie już nalepione na pocztówki artystyczne, przedstawiające dzieła, znajdujące się w kilku muzeach. Poza tem oczywiście pobierano dopłatę (stosunkowo niewielką) za kartki, ale trzeba było koniecznie zapłacić wstęp np. do Luwru. Tak więc z punktu widzenia propagandy sztuki można było złożyć gratulacje francuskiemu ministerstwu poczt, ale jak się na tę imprezę zapatrywali amatorzy znaczków!



Najnowsze znaczki (u góry) węgierski, (na lewo) Ksiestwa Liechtenstein, (na prawo) włoski ze serji ku uczczeniu Wilhelma Marconi'ego i (u dołu) francuski, przedstawiający posąg Nike z Samotrake z Muzeum w Luwrze.

Michel zajął stanowisko wręcz wrogie i z początku chciano uznać te znaczki wraz z pocztówkami jako specjalną formę całostek, nie wchodzących w zakres programu zbierania. Życie jednak powiedziało co innego i prawie wszyscy woleli odżałować kilkadziesiąt groszy na pocztówki, a odklejone piękne znaczki wlepić do albumu. Amatorzy egzemplarzy niestemplowanych „z dziewiczym klejem" nie mogli jednak wżaden sposób zaspokoić swych wymagań, bo nie dało się nakłonić urzędników do sprzedania kartek osobno, a znaczków osobno. Ta szykana napsuła jejszcze więcej krwi, aniżeli fakt, że ze wszystkich sztuk obrywano margines.

Tylko bowiem we Francji istnieje manja zbierania znaczków z t. zw. „coins datés". Są to znaczki z jednego rogu arkusza, na którym drukarnia umieszcza nr. kolejny arkusza i datę rozpoczęcia emisji. — W drodze łaski funkcjonarjusze pocztowi sprzedawali proszącym o to zbieraczom kartki ofrankowane, takim „narożnym" znaczkiem, ale jeśli nabywali oni odrazu... po sto sztuk, czyli cały arkusz. — W ten sposób mogli zaspokoić swój kaprys tylko zbieracze, którzy dysponowali gotówką kilkudziesięciu złotych.

Z naszej strony postanowiliśmy reprodukować te znaczki dopiero wtedy, gdy otrzymamy je w stanie nieskazitelnym. Jak się to stało, że faktycznie widoczna na zdjęciu sztuka posiada pełną gumę... nie wiemy, zapewne poczta i muzea uważały, że zarobiły dosyć na kieszeniach zbieraczy, i że teraz można już zadowolić nasze fanaberje. **W. H.**

Aukcje: Dorotheum. Wien I. Dorotheergasse 17, Licytacje w każdy wtorek i piątek. W. Balasse, Bruxelles, Rue du Midi. Wielka wyprzedaż znaczków całego świata.

Krakowski Klub Towarzyski zawiadamia, że zebrania sekcji filatelistycznej odbywają się we środy wieczorem i w niedziele rano w lokalu przy ul. Felicjanek 6.

CZY PODOBAJĄ SIĘ WAM KOTYLJONY KRAKOWSKIE?

Pamiątką po balu, czy zabawie karnawałowej jest czasem „mała kobietka", która staje się współwłaścicielką serca męskiego, a czasem tylko — kotyljon.

Panowie zwykle są w kłopocie, co robić z kotyljonami. Wisi to najpierw na fraku, do którego zostało przyczepione, potem idąc na następną zabawę wkłada się kotyljon do pudełka z kołnierzykami; wkońcu okazuje się, że przy najbliższej dostawie kołnierzyków w pudełku niema miejsca, więc wędruje do szuflady, znajdującej się u dołu szafy, a stamtąd już pewna droga na śmietnisko. Chyba, że z tym „orderem" balowym łączy się jakieś takie wspomnienie, że musi się go nosić przynajmniej trzy miesiące w portfelu — na sercu. Jednak i to souvenir zczasem gdzieś się zapodziewa — bez żalu, bo kotyljony, pożal się Boże, pośpieszne robótki źle opłacanych dziewcząt, wytwarzane wedle jednego szablonu, z lichych materjałów, nie zasługują na lepszy los.





Powyżej od lewej: **Wianuszek krakowski i rózga weselna.**



Pan Twardowski na księżycu.





Powyżej od prawej: **Koszyczek i rózga weselna.**

A jednak może być inaczej. I pod tym kotyljonowym względem okazała interesującą inicjatywę krakowska Szkoła Sztuk Zdobnictwa i Przemysłu Artystycznego, pozostająca pod wytrawnem kierownictwem dyr. Zarzyckiego. Uczenice tej szkoły wykonały na swój bal, który ma się niebawem odbyć, wielką ilość kotyljonów, opartych na wzorach regjonalnych, a głównie krakowskich, z których każdy jest malutką kreacją. Wprost nie mogliśmy się napatrzeć, gdyśmy otworzyli to pudełko z kotyljonami, z którego wychodziły raz po raz to zgrabny koszyczek z kwiatkami, to rózga weselna, to wianki krakowskie, to talja kart, to serduszko „z piernika" (czyżby dla piernika?), to fantazyjna krakowianka, to Twardowski na księżycu i wiele in. Taki kotyljon napewno nie powędruje do owej szuflady, lecz oprawiony w ramki stanie się trwałą pamiątką balu.

Warto przy tej sposobności przypomnieć, że słowo kotyljon pochodzi od francuskiego „cotillon", co znaczy „spódniczka". — Istotnie pierwsze kotyljony, przypinane podczas tańców kotyljonowych (walców z figurami), były jakgdyby skrótem spódniczek, mianowicie falbanką, ułożoną w kółko. Kotyljony mają już poważną tradycję, mianowicie sięgają czasów wspaniałych balów Ludwika XIV, które tańcami kotyljonowemi rozpoczynano.

Ludwik Tomanek.

POTWÓR WŚRÓD BAGIEN

NOWELA

WANDA DE RICHE

Człowiek w zielonej kurtce, który spoglądał tępym wzrokiem na stojący przed nim kielich tokaju, poruszył się na krześle.

— Najżywsze barwy — przemówił z emfazą — blędną po pewnym czasie na płótnie, a obraz, który ongiś zdumiewał przepychem kolorów, ciemnieje pod patyną wieków i zatraca swą świeżość. Tak jest i w życiu... Zjawiska, które przemawiały do wyobraźni i budziły w nas zdumienie... fakty, dla których nie mogliśmy znaleźć wyjaśnienia, okazują się niejednokrotnie, po szeregu lat, czemś zupełnie naturalnem i zrozumiałem.

— Niedowiarków nie brak na świecie — wtrącił młodzieniec z monoklem, który opowiedział nam właśnie fantastyczną historję o szczekającym zającu i któremu te słowa wydały się grzeczną formą krytyki.

— Nie chciałem nikogo urazić — odpowiedział właściciel zielonej kurtki. — Uwagi moje są raczej usprawiedliwieniem. Stanowią one jakby motto do tego, co sam opowiem.

Zastrzeżenia podobne wygłaszał każdy z myśliwych, który zabierał dotąd głos przy stole, a więc i tym razem towarzystwo przywitało je uśmiechami, pełnemi życzliwości i pobłażania. Gospodarz dał znak służącemu, aby napełnił kieliszki winem.

Człowiek w zielonej kurtce rozglądał się dokoła. — Nie wątpię — rzekł — że wielu z nas przeżyło przygody niezapomniane. — Mamy w naszem gronie — tu zwrócił się z ukłonem w stronę Barona — myśliwych, którzy tropili lwy i tygrysy i którzy w egzotycznych krajach sięgali po laury pierwszych strzelców świata. Wiemy, że dziwny zbieg okoliczności, a czasem kaprys natury, zburzyć może cały gmach wszczepionych w nas wierzeń i przekonań... Ja sam w czasie pobytu na Kaukazie miałem sposobność poszczycić się niejedną, piękną zdobyczą... Ale najdziwniejszą przygodę przeżyłem tu, w kraju. Wyprawa, w której wziąłem udział, była zapewne unikatem. I chyba już się nigdy nie powtórzy...

— Było to pośmierci mego wuja — przemówił znowu dźwięcznym głosem, właściwym mieszkańcom naszych kresów wschodnich. — Zupełnie niespodziewanie stałem się właścicielem większego majątku na Polesiu, odziedziczonego po człowieku, o którym wiedziałem to tylko, że spędził długie lata na podróżach i bliżej nieokreślonych studjach w Ameryce i we Francji. Mówiono, że był doktorem medycyny i cieszył się sławą doskonałego fizjologa. Miałem sposobność sam się o tem przekonać, znalazłszy szereg prac jego z dziedziny inkretologji, drukowanych w rozmaitych pismach zagranicznych, a poświęconych niezwykłej roli, jaką w ustroju człowieka odgrywają grasica i przysadka mózgowa. To pewne, że wuj mój zyskałby, jako uczony, wielką sławę, gdyby był zdolny do systematycznej, wytrwałej pracy. Ale coś pędziło go zawsze w świat, na spotkanie nowych ludzi i nowych wrażeń. Dziś wiem, że życie tego człowieka było ciągłą ucieczką przed sobą samym...

— Przybyłem do Łuszec... tak zwie się obecny mój majątek... w dwa dni po śmierci wuja, wezwany telegraficznie przez jego plenipotenta. Dowiedziałem się ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, że zmarły bawił w kraju już od dwóch lat i że przez cały ten czas żył w swej posiadłości, jak prawdziwy odludek. Gospodarzył jednak dobrze, gdyż jak się okazało, uporządkował sprawy majątkowe, popłacił długi i poczynił szereg celowych zarządzeń. Szczególnie mile uderzyła mnie głęboka cześć, z jaką mówił o zmarłym jego dawny sługa, stary Ostap, który wrócił razem z nim do Łuszec i był czymś w rodzaju jego powiernika. Mam wrażenie, że wszystkie rozporządzenia wuja uważał za święte, gdyż przestrzegał ich także po jego śmierci. Pomnę, że w jakieś dwa dni po pogrzebie, zgłosił się do mnie z prośbą, abym wyasygnował pewną sumę na „zwierzęta". Sądziłem zrazu, że chodzi o psy myśliwskie. „Nie, proszę pana" — rzekł, wstrząsając swą siwą głową. — Polowanie, to nie moja rzecz. Ale mamy tu króliki, świnki morskie, myszy i szczury, nie mówiąc już o wszelakiego rodzaju ptactwie". — Okazało się, że były to zwierzęta, potrzebne wujowi do rozmaitych doświadczeń biologicznych, dokonywanych w pracowni, którą stworzył w północnem skrzydle dworskiego budynku.

Pominę milczeniem pierwsze etapy mego pobytu w Łuszcach i pracę, której plony zaczynam zbierać dopiero dzisiaj. Ciężkie to były czasy, ale wspominam je z rozrzewnieniem. Służba przyzwyczaiła się wkrótce do nowego właściciela i nauczyła się mnie cenić. Minęły jednak miesiące i lata, zanim tubylcy przestali uważać mnie za intruza.

Wypadek, o którym mówię, wydarzył się w pół roku po śmierci wuja, kiedy dopiero poznawałem ludzi i teren. Nie wiem, jak się to zaczęło... Zdaje się, że jeden z włościan poskarżył się w rozmowie ze mną na zły wymiar „daniny", który dowodzić miał nieprzychylnego ustosunkowania się do niego wiejskiej gromady. —A cóż to za danina? — spytałem, zaciekawiony. Poskrobał się w głowę, spojrzał na mnie zpodełba i nic nie powiedział. Co więcej, towarzyszący mu wyrostek, szturknął go w bok, jakby na znak ostrzeżenia. Chłop zaczął kręcić, a przyparty do muru, opowiadał o podatkach, o stratach materjalnych, o ciężkich warunkach życia i przy pierwszej sposobności pożegnał się z mną z pośpiechem. Nie przekładałem wagi do tej rozmowy i byłbym zupełnie o niej zapomniał, gdyby nie inna scena, której świadkiem byłem w trzy tygodnie później. Idąc przez nędzne osiedle na skraju bagien, które tworzył jeden z mniejszych dopływów Piny, spostrzegłem na progu chaty młodą kobietę, która zawodziła głośno. — Biedna, ja biedna! — narzekała. — Zabiorą mi jedyną kozę! Cóż teraz pocznę? — Kto zabierze ci kozę? — zapytałem, podchodząc bliżej. Mąż jej, który siedział na zydlu ze spuszczoną głową, zerwał się na równe nogi i przywitał mnie, ukłonem. I znowu nie otrzymałem odpowiedzi. — Chłop spojrzał na żonę znaczącym wzrokiem i zaczął mi tłumaczyć, że w okolicy trwa pomór na bydło, że zdychają krowy i kozy i że przed kilku dniami padła ich jedyna karmicielka. Baba przestała płakać i skryła się w głębi chaty. Zniecierpliwony, machnąłem ręką. — Co za dziwny naród — pomyślałem.

Kiedy pewnego razu skarżyłem się jednak przed starym Ostapem, który stanowił coś w rodzaju łącznika między dworem, a włościanami — na nieufność, z jaką tubylcy odnoszą się do mnie, stary wzruszył ramionami. — Eh! Może nie jest tak źle — rzekł. — Tylko, że oni mają swoje tajemnice. — Tajemnice? — zapytałem. — No, tak! — odpowiedział. — Jakieś praktyki po lasach... Może gusła i czary... Bóg jeden wie, co o tem sądzić! — Nadstawiłem uszu. — Gusła i przesądy, to być może — rzekłem. — Chłopi są zawsze zabobonni. Ale praktyki po lasach? Jak to mam rozumieć? Pokręcił głową: Oto! Modlą się przy księżycu... Składają ofiary... Zdaje się, że czczą jakąś istotę, która mieszkać ma na bagnach. — Wskazał na północ, gdzie zaznaczała się na nieboskłonie ciemna linja lasów i zarośli, ciągnących się na przestrzeni wielu mil aż do toru kolejowego. — W dwudziestym wieku! — zawołałem z oburzeniem. — Tak mówią — mruknął. — Jeśli panu zależy na tem, mogę się popytać...

Ale gdy w dwa tygodnie później zacząłem rozmawiać z nim na ten sam temat, okazało się, że sprawa jest poważniejsza, niż zrazu sądziłem. Oto Ostop doniósł mi z poważną miną, że chłopi w okolicy Łuszec czczą potwora, któremu składają w ofierze plony z pól, domowe ptactwo, a nawet kozy i owce i którego zowią smokiem. Chwyciłem się za głowę. — Smok! Potwór! Ofiary! — zawołałem. — Człowieku! Któż ci opowiadał takie bzdury? — To nie bzdury, panie — rzekł z miną poważną. — O smoku mówiono mi już dawno, ale byłem przekonany, że chłopi określają tem mianem jakiegoś człowieka, który ich wyzyskuje. Dlatego zasięgałem języka, słuchałem plotek wiejskich bab i chłopaków i z ich bezładnych opowieści wnoszę, że w naszych lasach, na moczarach, w miejscu, które lud zowie Djabelską Kępą, żyje w istocie jakieś tajemnicze zwierzę...

— Daj spokój, stary! — przerwałem.

— Fakt faktem — rzekł Ostap, wzruszając ramionami. — Potwór przebywa na bagnach już szereg miesięcy...

— Dosyć! — żachnąłem się. — Czy który z nich widział tego zwierza?

Ostap zadumał się.

— Nie mówili — rzekł po namyśle. — Ale to naród nieużyty. Jeden w drugiego mruk. Popytam się...

W pewien czas później zjawił się u mnie



Ostap w towarzystwie jakiegoś wieśniaka w zgrzebnej koszuli i parcianych spodniach.

— To człowiek, który widział naszego smoka i może zaprowadzić do jego kryjówki — rzekł Ostap z dumą.

Spojrzałem na chłopa, który stał, mnąc w ręku kapelusz.

— Widzieliście smoka? — zapytałem zaciekawiony.

— Widziałem, panoczku — odpowiedział z pewnem ociąganiem się. — Widziałem zwierza tam, na bagnach... Duży jest... Łapy i ogon niby jaszczur... A ślepia wielkie, jak talerze... Przynosimy mu jadło... już od tamtego roku...

Spuścił oczy na swe łozinowe łapcie i umilkł. Ostap, który słuchał z miną, pełną skupienia, uznał za stosowne dodać kilka słów wyjaśnienia:

— Ludzie spotykają zwierza często. Jak dotąd, nie napadł na żadnego człowieka. Ale dlatego, że go karmią... Podobno wygląda strasznie... Jaszczur z długim, potężnym ogonem...

— Dajmy spokój opisom — przerwałem tonem zdecydowanym. — Ostapie, zatrzymaj tego człowieka! Wybierzemy się na Djabelską Kępę z psami i obławą.

Nie chciałem pokazywać po sobie, że cała ta historja wydaje mi się bardzo dziwna i że stanowczość moja jest tylko maską, skrywającą niepokój. Bądź co bądź jednak, nie mogłem błądzić w ciemnościach.

Organizowałem najrozmaitsze wyprawy myśliwskie, ale żadna nie sprawiła mi tyle kłopotu. Z biernym oporem służby, która słyszała coś o potworze, żyjącym na moczarach i nie miała wielkiej ochoty narażać się na niebezpieczeństwo bliżej nieokreślone, uporałem się bardzo krótko. W skład ekspedycji wejść miało czterech krzepkich parobków, do których na ochotnika przyłączyli się karbowy oraz przebywający u mnie podówczas młody agronom Husarski. Gorzej poszło z nagonką. Z wielkim trudem udało mi się zwerbować kilku chłopów, których zadaniem było przedostanie się na Djabelską Kępę i wypłoszenie z niej potwornego zwierza. Za przewodnika miał nam służyć ów wieśniak, przyprowadzony poprzedniego dnia przez Ostapa oraz jego syn. Kazałem zabrać psy, chociaż nie zdawałem sobie jasno sprawy, czy użycie ich będzie możliwe.

Nazajutrz wyruszyliśmy na bagna — karbowy i Husarski zaopatrzeni w dubeltówki, ja uzbrojony w mój wypróbowany sztucer. Mój Boże! Żyję a Polesiu już od ośmiu lat i tak, jak w owym czasie, nie wiem nic prawie o tych rozległych przestrzeniach, porosłych sitowiem i wikliną, zalanych wodą przez szereg miesięcy i zupełnie odciętych od świata. Lasy i bagna, kępy pokryte krzakami znów bagna.

Nawet dziś nie mógłbym powiedzieć, w jakiej odległości znajduje się Djabelska Kępa od Łuszec. Może piętnaście, a może dwadzieścia kilometrów! To pewne, że z podwód chłopskich musieliśmy zrezygnować bardzo prędko i wędrować pieszo przez zarośla i trzęsawiska, wśród których tylko gdzieniegdzie widniały pasy względnie suchego gruntu, w brudnej, cuchnącej wodzie, w której gniły opadłe z drzew liście i kłącza zmartwiałych roślin, skrzeczały i pluskały się żaby, a w gąszczu sitowia, rosnącego nad brzegami małych jeziorek i leniwie sączących się strumyków, odzywały się głosy błotnego ptactwa. Całość robiła wrażenie smutne i ponure, mżył drobny deszcz i tuż przy ziemi, między krzakami, unosiła się jeszcze biaława mgła, utrudniająca orjentację. Zaprawdę, nie zapuściłbym się nigdy sam w tę niesamowitą krainę, jakby stworzoną dla strzyg i topielców.

Szliśmy gęsiego za przewodnikiem, który kroczył śmiało, nie oglądając się za siebie.

Błoto chlupało pod naszemi stopami, które wyciągaliśmy z trudnością z grząskiej, miękkiej ziemi. Czasem zrywały się do lotu wypłoszone z krzaków bąki i kurki wodne, a czasem psy, wiedzione przez karbowego, odpowiadały głośnem ujadaniem na ledwie słyszalne szmery z głębi moczarów. Husarski pogwizdywał z cicha, poprawiając nerwowym ruchem rzemień od strzelby. Dochodziła godzina dziewiąta.

Po dłuższej wędrówce weszliśmy wreszcie na grunt względnie twardszy i suchszy. — Ścieżka stała się wyraźniejsza, a teren zaczął nieznacznie wznosić się wgórę. Zniknęły stawki, pokryte zielonym kożuchem wodorostów, a miejsce krzaków wikliny zajęły obecnie karłowate sosny, brzozy i osiki. Deszcz przestał padać. Przewodnik zatrzymał się i wskazał ręką:

— Djabelska Kępa! — rzekł. — Zwierz żyje tam, na skraju bagna...

Mówił spokojnie, ale wargi jego drżały.

W tej chwili ukazał się na ścieżce jakiś wyrostek. Biegł zdyszany, ku nam, a zrównawszy się z przewodnikiem, zamienił z nim kilka słów. Potem zawrócił i dając jakieś znaki rękoma, zniknął znów między krzakami.

— Nagonka otoczyła Kępę — rzekł karbowy, który podszedł wraz z Husarskim i parobkami. — Czy spuścić psy ze smyczy?

Skinąłem głową. Karbowy spełnił rozkaz. Psy zawahały się przez chwilę, a później, jakby instynktem wiedzione, pobiegły, szczekając głośno, w stronę, gdzie zniknął wyrostek. Zauważyłem że towarzysze moi ujęli w ręce dubeltówki. Sięgnąłem mimowoli po sztucer, jedyną broń, nabitą kulami.

Szliśmy na upatrzonego zwierza, o którym wiedziałem to tylko, że był potworem. Smok? Zapewne przesada. Określenie zbyt malownicze. Bądź co bądź jednak, było to polowanie.

Stopniowo ogarniała mnie gorączka. Sądzę, że towarzysze moi byli również podnieceni, gdyż przewodnik zaczął im coś tłómaczyć, gestykulując żywo.

Ruszyliśmy wolnym krokiem w stronę Kępy. Te ostatnie dziesięć minut wydawały mi się wiekiem. Byłem zdenerwowany i zaniepokojony, ale przedewszystkiem lękałem się śmieszności. To też z pewną ulgą usłyszałem dochodzące z oddali okrzyki nagonki i niewyraźne ujadanie psów.

Djabelska Kępa! Dopiero teraz przekonałem się, jak trafnie dobraną była ta nazwa. Ścieżka zawiodła nas nad brzeg niewielkiego jeziorka, którego wody martwe i milczące otaczały z trzech stron półwysep, porośnięty drzewami. Ziemia była tu czarna jak na torfowisku, a kiedy czasem ugięła się pod stopami, odzywało się gdzieś w głębi głuche bulgotanie i na powierzchni jej ukazywała się mała kałuża. Półwysep połączony był z lądem stałym wąskim pasem pozbawionego roślinności gruntu, na którym widniały jakieś białawe przedmioty. Dopiero później przekonaliśmy się, że są to kości zwierząt domowych i ptactwa, przyniesionych w ofierze... smokowi. Brzegi półwyspu opadały stromo ku wodzie, urywając się nagle, co umożliwiało splątanym korzeniom drzew, krzaków i najrozmaitszych roślin bagiennych stworzenie zwartej ściany, która stanowiła jakby oparcie i podstawę dla właściwego gruntu. Naprost ścieżki znajdowała się głęboka rozpadlina, o stokach tak bardzo do siebie zbliżonych, że gałęzie drzew, rosnących na przeciwnych stronach, łączyły się z sobą wgórze, tworząc coś w rodzaju dachu. Nic dziwnego, że światło dzienne przenikało z trudem wgłąb tej czeluści.

Z oddali dolatywały krzyki nagonki, kryjącej się przezornie w zaroślach nad brzegami jeziorka. Nagonki! Ta garść wystraszonych chłopów, którzy z pewnością żałowali, że dali się namówić do tej wyprawy na „wielkiego zwierza", z pewnością nie zasługiwała na tę nazwę. Znajdowaliśmy się u wejścia na półwysep. I w tej chwili ujrzałem moje dwa psy...

Trwały w miejscu z najeżonemi na karku włosami, z pyskiem, zwróconym w stronę rozpadliny, warcząc głucho. Na mój widok zaczęły szczekać i wysunęły się naprzód, ale znów zatrzymały się, zaniepokojone.

— To tutaj, panoczku — usłyszałem szept chłopa.

Spojrzałem na półwysep, a potem na towarzyszących mi ludzi. Liczba ich zmniejszyła się znacznie. Prawdę mówiąc, oprócz Husarskiego i przewodnika, którego postawa budziła we mnie szczery podziw, wszyscy pozostali wtyle.

Psy zaczęły znów warczeć. Nie miałem czasu zastanawiać się. Z sztucerem w ręku wstąpiłem na wąski pas gruntu, łączący półwysep z lądem stałym. Z pomiędzy drzew, a może z głębi rozpadliny wionął teraz ku nam zimny wiatr, przynosząc z sobą odrażający zapach zgniłego mięsa. Zakręciło mi się w głowie, ale zaczerpnąłem w płuca powietrza i ruszyłem naprzód.

Posuwaliśmy się ostrożnie za psami, które wciąż kuliły się ze strachu. Kiedy przystanęły u wejścia do czeluści, która okazała się raczej wąskim wąwozem, osłoniętym drzewami, zrozumiałem, że zbliżamy się do celu.

Mimo zdenerwowania i podniecenia, nad któremi nie mogłem zapanować, zauważyłem, że ściany wąwozu mają wygląd bardzo dziwny. Zbocze jego, oddalone od siebie najwyżej na trzy lub cztery metry, były nietylko pozbawione roślinności, ale zupełnie gładkie... tak gładkie, jakby ktoś starał się usunąć najdrobniejszy kamyczek, najmniejszą nierówność. Co więcej, dno wąwozu było wyraźnie sprasowane i ubite, gdyż liście drzew, które musiały opaść niedawno, wtłoczone były w czarny, twardy i nagi grunt. Co miała oznaczać ta różnica w wyglądzie dolnych i górnych części wąwozu? Czyżby wleczono tędy jakieś ciężary. Ale w jakim celu?

Przyznaję, że z pewną trwogą spoglądałem teraz wgłąb mrocznej dolinki, która miała być siedliskiem tajemniczego zwierza. Czułem, że na zakręcie, do którego zbliżaliśmy się krok za krokiem, rozstrzygnie się los wyprawy. Ale sama myśl o smoku była absurdem. A jednak należało przygotować się na coś niezwykłego, niepowszedniego, coś godnego uwiecznienia w fantazji ludowej.

Stanąłem na zakręcie. Wąwóz kończył się ślepo w odległości jakich piętnastu metrów półkolistem zagłębieniem, ukrytem w cieniu. Określićby je można mianem nory, gdyby nie jego wielkie rozmiary. Nie myliłem się jednak. Była to rzeczywiście nora.

Kiedy tak trwałem w miejscu, wpatrując się w tajemnicze zagłębienie, do uszu mych doleciał dziwny szmer, jakby przesuwanego w głębi ciężkiego przedmiotu. Nie miałem czasu zebrać myśli. W ciemnym otworze ukazała się potworna głowa, a za nią długi tułów, oparty na kabłąkowato zakrzywionych odnóżach.

Jaszczur! Olbrzymi jaszczur! Jego wielkie, błyszczące oczy, osadzone w głębi płaskiej czaszki, spoglądały na mnie, jakby z ciekawością. Wsparł się na łapach i otworzył paszczę. Ujrzałem potężne, rogowe szczęki i lejkowatą, czerwonawą gardziel. Na łbie i na czarnym, jak onyks kilkumetrowym odwłoku widniały duże, pomarańczowe plamy...

— Boże Wielki! — usłyszałem za plecami szept Husarskiego. — To smok!

W istocie. Zasługiwał na tę nazwę ze względu na swe wielkie rozmiary. A jednak zwierz ten różnił się nieco od popularnych podobizn bajecznych smoków, przekazanych nam przez dawniejszych malarzy i rysowników. Nie posiadał ani groźnych szponów, ani budzących postrach zębów. Pozbawiony był imponującego grzebienia, a ciała jego nie chroniły łuski i tarcze. Brak tych szczegółów podkreślał jednak niesamowitość zjawiska. Niby okropna zmora senna przyprawiał o zwierzęcy lęk, który pa-

Dokończenie na str. 20-tej.



Na lewo: Skrzypce ze szkła „plexi“ wyglądają conajmniej na czarodziejski instrument.

GRAŁ PAN JUŻ KIEDY NA SZKLANYCH SKRZYPCACH?

Czy grał pan już kiedy na szklanych skrzypcach? — pytanie to wywołałoby napewno wielkie zdziwienie niejednego artysty, czy znawcy instrumentów muzycznych. Bo niewielu jest muzyków, którzy skrzypce te widzieli, a z pewnością bardzo nieliczni mogli ująć je w swe artystyczne dłonie.

Po raz pierwszy pojawił się taki szklany instrument na tegorocznej wystawie chemicznej we Frankfurcie nad Menem. Skrzypce owe są normalnych wymiarów i posiadają dotychczasowy kształt. Wykonane są jednak nie z drzewa, ale z jednolitej i przeźroczystej masy, podobnej do szkła. Gdyby taki Stradivarius, Amati, czy inny sławny lutnista ujrzeć mógł tę ostatnią zdobycz techniki, nazwałby ją chyba tworem szatana, tembardziej, że słysząc ton nowego instrumentu, stałby pełen zazdrości i podziwu. Instrument bowiem posiada ton tak czysty i piękny, iż trudno się odrazu zdecydować, czy dać pierwszeństwo np. Stradivariusowi, czy też czarodziejskiemu tworowi chemików niemieckich. Próby, przeprowadzone w obecności najlepszych znawców skrzypiec wykazały, że szlachetność tonu obu instrumentów jest prawie identyczna.

Pomysł skonstruowania skrzypiec ze szkła, a raczej z materjału, przypominającego szkło, nie jest bynajmniej nowy. Już bowiem przed kilkunastu laty podobne próby podjęli chemicy amerykańscy i angielscy. Nie udało im się tylko nadać instrumentowi odpowiednio pięknego tonu. Do dziś dnia pozostały tajemnicą recepty i sposoby budowy skrzypiec przez starych włoskich mistrzów i trzeba było dopiero całkiem innej dziedziny twórczości ludzkiej, mianowicie chemji, aby przypadkowo wpaść na to, iż wspomniana szklista masa nada skrzypcom ton u tak nielicznych instrumentów spotykany. I tu więc postęp techniki silnie się zaznaczył, podobnie, jak zresztą w każdej, pozornie najbardziej obcej jej dziedzinie.

A teraz pomówmy o tej cudownej substancji. Nazwano ją „plexi“. Chemicy doszli do jej składu na podstawie długoletnich poszukiwań i badań nad nietłukącem się szkłem. Sama idea wyprodukowania takiej masy również nie jest nowa. Średniowieczni alchemicy poszukiwali recepty, któraby usunęła kruchość i łamliwość już wówczas cenionego materjału. — Dziś z chwilą rozwiązania tego zagadnienia otwarły się przed „plexi“ nowe i niespodziewane możliwości. Olbrzymi rozwój techniki w ostatniem stuleciu stworzył coraz to większe wymagania w dziedzinie surowców i materjałów, służących do fabrykacji najrozmaitszych aparatów i przedmiotów codziennego użytku.

Warunki polityczne i ekonomiczne zmuszają narody do prowadzenia oszczędnościowej polityki surowcowej i co zatem idzie, do stosowania materjałów zastępczych w miejsce surowców i metali, których import niezawsze jest możliwy. Niejednokrotnie okazało się, że tego rodzaju sztuczne surowce stoją pod względem własności fizycznych, jak np. wytrzymałość, stopień twardości itd., o wiele wyżej od naturalnych. Syntetyczny np. kauczuk nietylko, że nie ustępuje pod względem swych fizycznych własności produktowi roślinnemu, ale jest od niego znacznie wytrzymalszy na mechaniczne zużycie. Na oponie samochodowej sporządzonej z „buny“, tj. syntetycznego kauczuku, nie znać wcale śladów zużycia, podczas gdy zwykła opona, przez ten sam czas pracująca, jest już wyraźnie zniszczona.





Od lewej: Oto dwa przykłady zastosowania nowego szkła: osłona pilota w szybowcu i szkło powiększające.



Szyby z substancji „plexi“ można dowolnie wyginać.

Sztuczny kauczuk posiada jeszcze tę zaletę, że jego cechy mechaniczne, elastyczność itd. dają się podczas procesów fabrykacji w bardzo szerokich granicach zmieniać. Kalkulacyjnie sprawa sztucznej gumy przedstawia się jednak nieco gorzej. Cena jej bowiem jest o prawie 60% wyższa, niż naturalnej. Badania jednak prowadzone na tem polu intensywnie w Niemczech, Rosji i Anglji, nie ustają i spodziewać się należy, że i pod tym względem warunki ulegną korzystnej zmianie. Jest faktem łatwym do stwierdzenia, że w ostatnich dziesiątkach lat technika coraz chętniej eliminuje stosowanie surowców naturalnych i zwraca się coraz wyraźniej do najrozmaitszych substancyj zastępczych jedynie z tego powodu, ponieważ ich własności można dowolnie i prawie na życzenie zmieniać. Znane jest coraz powszechniejsze stosowanie t. zw. bakelitów, mas plastycznych, z których wykonuje się wiele przedmiotów codziennego użytku. Zkonstruowanie np. wiecznego pióra nie mogłoby być zrealizowane, gdyby technika nie miała odpowiedniego materjału. Czy do pomyślenia byłoby wieczne pióro z metalu czy łupliwego i niewygodnego drzewa? Pióra takie z pewnością nie zyskałyby powodzenia.

Wspomniana na początku masa, z której zbudowane są „Szklane skrzypce“ jest właśnie taką masą plastyczną, nadającą się nietylko do budowy tego instrumentu. Pięknie wygląda np. biżuterja z „plexi“ grą tęczowych barw, a szyby samochodowe, okulary, szkła optyczne, mając te same zalety optyczne co dotychczasowe, stoją wyżej od zwykłego szkła zpowodu swej niełamliwości. Ogromnem ułatwieniem przy obróbce „plexi“ jest to, że już w temperaturze ponad sto stopni masa ta mięknie i staje się całkowicie plastyczna.

Dziwnym okazuje się fakt, że przemysł artystyczny tak mało korzysta z tych wszystkich nowych, a mogących znaleźć jaknajszersze zastosowanie, materjałów. Idee artystów plastyków i innych mogłyby na tem polu doprowadzić do nieoczekiwanych i niezwykłych rezultatów. Materjały te są jeszcze młode i może zamało pod niejednym względem znane; jednak wcześniej czy później własnościami swemi napewno zainteresują sfery artystyczne w podobnej mierze, jak obecnie zainteresowały przemysł i handel.

Inż. Jan Schöppl.

Formy współczesnego życia państwowego skwapliwie zużytkowują dla politycznych celów również walory artystyczne kultury narodu.

Świat zubożał tak dalece, iż człowiek współczesny cofnąć się musi do sztuki minionych epok, aby doznać głębszych wzruszeń estetycznych.

Kraków, jak Rzym, Florencja, Norymberga, czy Siena przechował architekturę gotyku i renesansu, owianą szlachetną patyną wieków. Królewskie miasto tworzy najpiękniejsze tło i najbogatsze ramy artystyczne dla wszelkich reprezentacyjnych wystąpień, w czasie których głośniejszym niż żywy język głosem przemawiać ma duch historji narodu.

Na pochwałę młodej naszej służby dyplomatycznej podnieść należy, iż umiała wykorzystać walory Krakowa, a w układzie marszruty podróży dostojnego węgierskiego gościa dominantą uczyniono pobyt w Krakowie.

Regenta Węgier powieziono na Wawel królewską drogą, którędy od wieków szły wszystkie królewskie triumfalne i pogrzebne pochody.



Widok z okien Pałacu Prasy na Kościół Marjacki.

Szlak ów rozpoczyna się triumfalną bramą Barbakanu, jedynej gotyckiej części warowni, istniejącej w Europie obok Carcassone.

Ten rzadki klejnot architektury średniowiecznej postawił król Olbracht w latach 1498/9, gdy po bukowińskiej klęsce oczekiwano napadów Wołochów, Turków i Tatarów na Kraków. Przez bramę Florjańską, która zawsze była honorową bramą miasta, — szły królewskie pochody wzdłuż szacownych kamienic patrycjuszy ku Marjackiej świątyni, wylatującej ku niebu jak modlitwa, a dalej prowadzi do salonu Polski, na naszą piazzę św. Marka, gdzie zbudowano najpiękniejszą halę targową świata, jeżącą się koronką attyki. Królewska droga wiedzie przez krętą ulicę Grodzką, odsłaniającą co krok niespodziane piękno perspektywy kościołów i kościółków. A u końca tej drogi, po której sypało się złoto Wierzynka i kwiaty pod trumny Wieszczów, bohaterów i królów, wznosi się palladium polskości — Wawel, promieniujący szlachetnością ducha tysiąclecia naszej kultury, Wawel budzący słuszny podziw cudzoziemców, a dreszcz entuzjazmu w sercu Polaka.

MDD.

Katedra wawelska od strony dziedzińca.

Zdjęcia: Dr WACŁAW SZPERBER — Kraków

Pomnik Tadeusza Kościuszki na Wawelu.







Baszty i wieże starego Krakowa z Bramą Florjańską w pośrodku. — Fot. Dr. Azet — Kraków.

W MURACH KRAKOWA

I. Nuncjatura



Na lewo: Fragment sali recepcyjnej z portretem papieża Piusa XI.



A oto inna część ozdobnie urządzonej sali, na której ścianach znajduje się kilka portretów, z których jeden, przedstawiający arcybiskupa warsz. kard. Al. Kakowskiego, widoczny na naszem zdjęciu.

W r. b. obchodzić będziemy dwudziestolecie odzyskania niepodległości, a zarazem i ponownego nawiązania łączności dyplomatycznej z zagranicą. Postanowiliśmy dać dokładny przegląd rozwoju stosunków z poszczególnemi państwami drogą opisu rezydencyj placówek dyplomatycznych w naszej stolicy. Najstarszą rangą jest w krajach katolickich nuncjatura papieska, dalej idą ambasady, a za niemi poselstwa I kl. (z posłem na czele) wreszcie poselstwa II kl. (kierowane przez stałego chargé d'affaires). Starszeństwo ambasad równorzędnych poselstw zależy od czasu urzędowania danego kierownika placówki w Warszawie. Rozpoczynamy więc nasz cykl od opisu nuncjatury papieskiej, umyślnie umieszczając go w uroczystym dniu 16-lecia koronacji Ojca św. Piusa XI, szczególnie drogiego naszym sercom, jako pierwszego nuncjusza papieskiego w odrodzonej Polsce.

Krótki rys historyczny niechaj poprzedzi opis obecnego pałacu nuncjatury papieskiej w Warszawie. Warto bowiem uprzytomnić sobie choćby w skrócie, jak wysoko ceniła sobie stale Stolica Apostolska Polskę i jakich godnych do nas przysyłała przedstawicieli. Wielu z nich w Polsce otrzymywało kapelusz kardynalski, niejeden zaś wdziewał na głowę złotą tiarę-koronę papieską.

Od r. 1555, kiedy Stolica św. ustanowiła stałą nuncjaturę w Polsce i na pierwszego nuncjusza powołała światłego i zdolnego dyplomatę biskupa Ludwika Alojzego Lippomani, uprzednio posła Stolicy św. w Portugalji i Niemczech ,oraz jednego z przewodniczących na Soborze Trydenckim; niemało reprezentantów papieża w Polsce dostąpiło zaszczytu purpury kardynalskiej. Długi ich szereg rozpoczynają: Jan Franciszek Commandone (1553—5), mianowany kardynałem przez Piusa IV w r. 1565 i Wincenty Laureo (1574—8), którego kreował Sykstus V w r. 1583, powołując jednocześnie do specjalnie stworzonej wówczas Konkregacji spraw polskich.



Stylowe meble i piękny kominek dodają małemu salonikowi nuncjatury dużo uroku.

Wśród nuncjuszów w dawnej Polsce, podniesionych do godności kardynalskiej, wymienić należy osobno wielkiego przyjaciela Polski, Piotra Vidoni'ego (1652—9), któremu kapelusz kardynalski wręczono w roku 1660 w warszawskiej katedrze św. Jana. Ostatni w Polsce przedrozbiorowej nuncjusz apostolski, Wawrzyniec Litta (1794—9), purpurę kardynalską otrzymał od Piusa VII w r. 1801, już po opuszczeniu Polski.

Nadmienić wypada, że z dotychczasowych nucjuszów Stolicy św. w Polsce trzech zasiadło na Stolicy Piotrowej, mianowicie: już jako kardynał przybyły do Polski w r. 1588 Hipolit Aldobrandini, późniejszy Klemens VIII, Antoni Pignatelli (1660—8), panujący od r. 1691, jako Innocenty XII i pierwszy nuncjusz odrodzonej Polski Achilles Ratti, obecnie Ojciec św. Pius XI. Do imion tych należy dołączyć nadto imiona kilku legatów papieskich, działających w Polsce, zanim ustanowiono nuncjaturę, którzy byli wybierani na Stolicę Piotrową. Są to Rajnald di Segni (1224—7), późniejszy Aleksander IV, Jakób Panteleone (1247—55), późniejszy Urban IV, Mikołaj Bocassini (1301—4) — późniejszy Benedykt XI i Eneasz Piccolomini (za czasów Kazimierza Jagiellończyka) — późniejszy Pius II. Nadto kilku z pośród urzędujących w Polsce nuncjuszów, jak wspomniani już Commendone i Vidoni, byli poważnymi kandydatami na papieży.

Szczególna łaska papieska otacza nuncjuszów w odrodzonej Polsce. Każdego z nich spotyka zaszczyt kapelusza kardynalskiego. W r 1921 mianowany został kardynałem pierwszy w wolnej znów Polsce nuncjusz Stolicy św. Achilles Ratti, dziś od 12 lutego 1922 panujący Pius XI. Na konsystorzu w r. 1926 kapeluszem kardynalskim został ozdobiony drugi nuncjusz w Warszawie Wawrzyniec Lauri, po którym obowiązki nuncjusza objął w r. 1928 Franciszek Marmaggi, przed dwoma laty powołany do kolegjum kardynalskiego.

Obecnie od 20 maja ub. r. nuncjuszem papieskim w Warszawie jest Jego Ekscelencja msgr. Filip Cortesi, arcybiskup tytularny Syrakuz. ur. w r. 1876 na Sycylji, wstąpił do dyplomacji apostolskiej w r. 1910 i był sekretarzem, a potem audytorem nuncjatur papieskich kolejno w Bogocie (Kolumbja), Buenos Aires (Argentyna) i Rio de Janeiro (Brazylja). W r. 1921 został mianowany nuncjuszem apostolskim w Santiago de Chile, w r. 1926 zaś jednocześnie w Buenos Aires i w Assuncion (Paragwaj). W czerwcu 1936 r. msgr. Cortesi został mianowany nuncjuszem apostolskim w Madrycie, ale wobec wybuchu zamieszek już nie udał się na nową placówkę. Po roku otrzymał nominację do Warszawy. Obowiązki radcy nuncjatury spełnia obecnie msgr. Al-

fred Pacini, który w charakterze ablegata papieskiego urzędował przy wręczeniu kapelusza kardynalskiego msgr. Marmaggi'emu na Zamku w Warszawie

Pierwsza nuncjatura papieska w Warszawie mieściła się w domu parafji św. Aleksandra przy ul. Książęcej 21. Tam rezydował pierwszy nuncjusz w odrodzonej Polsce msgr. Achilles Ratti, obecny Ojciec św. Pius XI. Tam też początkowo rezydował Jego następca msgr. Wawrzyniec Lauri, aż w grudniu 1924 przeniósł się do własnego pałacu nuncjatury przy al. Szucha, ufundowanego przez biskupów polskich ze składek wiernych. Odpowiedni akt, spisany w języku łacińskim, dziś jeszcze wisi w poczekalni nuncjatury. Oto jego fragment:

„Najprześwietniejszy i Najwielebniejszy Panie!

Biskupi Polski, pragnący uczcić pamięć pierwszego Nuncjusza Apostolskiego, wysłanego przez Stolicę Apostolską do odrodzonej Polski, który potem został wybrany na Najwyższego Kapłana Piusa XI, dom ten nabyli w Warszawie ze składek katolików polskich w tym celu, by nieustannie służył tym, co będą reprezentować Osobę Najdostojniejszego Pasterza Rzymskiego u rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Dlatego też my, biskupi Polski, dziś w Warszawie zgromadzeni, dom przy ulicy, pospolicie Aleją Szucha zwanej, położony pod numerem dziesiątym, wraz ze wszystkiemi przynależnościami i przylegającym ogrodem, Tobie, Najprześwietniejszy i Najwielebniejszy Panie, któryś jest bezpośrednim następcą pierwszego Nuncjusza, Przenajświetniejszego Achillesa Ratti'ego, Arcybiskupa Noupaktenskiego, niniejszem przekazujemy.

W tejże poczekalni widzimy trzy portrety. Jeden z nich wyobraża nuncjusza Antoniego Pignatelli (1660—8), który potem został papieżem Innocentym XII, drugi i trzeci zaś: ostatnich dwóch nuncjuszów w Warszawie: Wawrzyńca Lauri i Franciszka Marmaggi.

marmurem. Na lewo od wejścia — mahoniowa gablota ze szklanemi półkami.

Między poczekalnią a salą recepcyjną mieści się sala konferencyjna, cała utrzymana w stylu gdańskim, z suto rzeźbionemi dębowemi krzesłami, szafą i stołem oraz misternym starym zegarem, ukazującym nietylko godziny, ale również dni tygodnia i miesiąca.

Z sali recepcyjnej prowadzi dwoje drzwi. Prawe do saloniku, łączącego się z ogrodem zimowym, w którym widzimy palmy, kaktusy i inne rośliny cieplarniane. W saloniku tym o białej boazerji widzimy przy oknie dwa duże fotele, obite czerwonym jedwabiem ze złotemi różami, oraz komplet mebelków „régence" z białego drzewa oraz fjoletowem obiciem. Tuż kominek z bronzowego marmuru.

Bardzo skromny stołowy, do którego prowadzą lewe drzwi sali recepcyjnej, ma również meble dębowe, kredens i komodę, utrzymane w stylu nowocześniejszym, niż pozostałe meble. Apartamenty prywatne i kancelarja ks. nuncjusza, położone na piętrze, urządzone są nad wyraz skromnie i prosto, zawierając jedynie najniezbędniejsze meble.

Fasada pałacyku oparta jest na wzorach z początku XX w. w stylu niemieckiego arch. Mathesiusa. Nad gankiem herb papieski. Z przodu i z tyłu gmachu ogródek, który latem tonie w zieleni.

Cicho tu i spokojnie. Między g. 10—12 jedynie bywa po kilku interesantów, przeważnie w habitach zakonnych lub w sutannach kapłańskich. I tylko raz do roku w rocznicę koronacji, jak dziś np. gromadzą się w salonach nuncjatury liczni reprezentanci stołecznego towarzystwa, wyższego duchowieństwa, rządu i dyplomacji oraz szambelani papiescy i kawalerowie maltańscy w purpurowych, złotem szytych mundurach, by złożyć za pośrednictwem ks. nuncjusza hołd Ojcu św. Piusowi XI, umiłowanemu „polskiemu papieżowi". **H. L.**

Sala konferencyjna nuncjatury posiada uroczysty wygląd dzięki potężnym, pięknie rzeźbionym gdańskim meblom.

Wszystkie zdjęcia: Fot. „As".





Nuncjatura widziana od strony ulicy.



Na prawo: Obecny nuncjusz papieski ks. arcbp. tyt. Syrakuz Filip Cortesi.

Piękny portret pierwszego nuncjusza, a obecnie Ojca św. w szatach pontyfikalnych, wisi na naczelnem miejscu w sali recepcyjnej nuncjatury. Jest pędzla Polaka H. Gilewskiego i został namalowany w Watykanie w r. 1925. W tejże sali na lewo wisi portret ks. kardynała Kakowskiego. Na prawo od wejścia oryginał Wojciecha Kossaka.

Sala ta ma białe boazerje i obicia z zielonego brokatu w kwietne desenie. Meble utrzymane są w stylu Ludwika XV o rzeźbionych złoconych nogach i jedwabnem szarem obiciu. Stoły kryte są różowym

IDZIE LAWINA!



Imponujący widok spadku lawiny ze zbocza gór w dolinę.

Lawina! Najczęściej nazywa się ją „białą śmiercią", gdyż niesłychanie rzadkie są wypadki, w których człowiek ogarnięty niszczącym pochodem śniegu w górach — zdołał się wydostać cało ze straszliwych objęć lawiny. Niema też większej grozy dla narciarza i człowieka gór, który zimową porą znajdzie się na drodze lawiny śnieżnej. Podobnie też, niema od niej potężniejszego wyrazu siły zimowej przyrody górskiej.

Spada lawina ze stoków zasypanych śniegiem, cichych, nieraz rozjarzonych słońcem, lub tonących w cieniu pochmurnego nieba, a przecież nabrzmiałych groźnem niebezpieczeństwem. Spada głównie żlebami, stromemi wąwozami górskiemi, które stanowią „naturalne drogi" wielkich lawin. Po dużych opadach śnieżnych, w czasie wiatru, przy rozległych wahaniach temperatury, na śliskiem podłożu, przy silnem nasłonecznieniu itp., powstają na niektórych stokach t. zw. „lawinowe warunki". Wystarczy wtedy najmniejszy bodziec zewnętrzny, aby zerwała się lawina.

Owe drobinki śniegu, wydające się tak lekkie i zwiewne w czasie świeżego opadu i odznaczające się wspaniałemi krystalicznemi kształtami, gdy się je ogląda z bliska — składają się na olbrzymi ciężar, gdy znajdą się w masie lawiny. Wszak metr sześcienny świeżego śniegu waży ponad 100 kg., a śnieg wilgotny lub odwilżowy (jaki zresztą najczęściej występuje w lawinie) dochodzi w metrze sześciennym do 800 kg. wagi. Czyż trzeba opisywać ,jak olbrzymie ciężary wchodzą w grę, gdy ruszy całe zbocze o objętości wielu dziesiątek tysięcy metrów sześciennych śniegu, gdy uderzenie lawiny spotęgowane jest jeszcze ogromną szybkością jej pochodu?

Ruszy nieraz lawina tylko na powierzchni zbocza, kształtując „deskę śnieżną" lub niewielką, lecz groźną lawinę powierzchniową. Często jednak spada „lawina gruntowa", ściągająca ze zboczy całą pokrywę śnieżną, toczącą ze sobą głazy i maliniaki podłoża. Lawina taka położy nieraz cały las, który znajduje się na jej drodze, i niszczy dosłownie wszystko. Po świeżym zaś opadzie śnieżnym, zdarza się nieraz lawina „pyłowa" ogromnych rozmiarów, podnosząca obłoki śnieżnego kurzu i dusząca. Idzie nieraz przed lawiną tak silny pęd powietrza, że — jak pocisk armatni — roznosi domy i szałasy, znajdujące się daleko od miejsca, w którem legnie stożek nasypowy lawiny.

Kilkanaście rodzajów lawin naliczyła już nauka, która bada to groźne zjawisko i szuka sposobów obrony przed kataklizmem. Buduje się zapory przeciwlawinowe, wysadza zawiązki lawin minami, wznosi ochrony nad drogami itp. Niema jednak skutecznego sposobu obrony przed lawiną! Najlepiej schodzić z drogi temu żywiołowi. Jednakże w tym celu trzeba znać warunki tworzenia się lawin. Jest to zatem sprawa doświadczenia, które winien gromadzić każdy człowiek gór i miłośnik zimowej przyrody.

F.









Powyżej na lewo: Transport ofiary lawiny. — Poniżej od lewej: Na stokach gór buduje się specjalne zapory przeciw lawinom. — A oto jak wyglądają te zapory po przejściu lawin. — Nad torami kolejowymi buduje się specjalne osłony w miejscach w których lawiny najczęściej spadają.







Powyżej: Requiem za dusze zasypanych przez lawinę czterech członków włoskiej straży wysokogórskiej.

Na lewo w kole: Przekopywanie lawiny w poszukiwaniu za zasypanymi.

Na prawo: Turyści w objęciach lawiny — fantazja malarska Ferdynanda Hodlera.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: PRESSE-PHOTO — BERLIN



Pewnego razu, było to zdaje się w grudniu, postanowiłem zrobić z mojemi finansowemi sprawami „cleaning-up", czyli porządek. Trzymając się zasady, że żyć trzeba z ołówkiem w ręku, wziąłem takowy i stwierdziłem, że niestety mój budżet został przekroczony o jakieś sto procent.

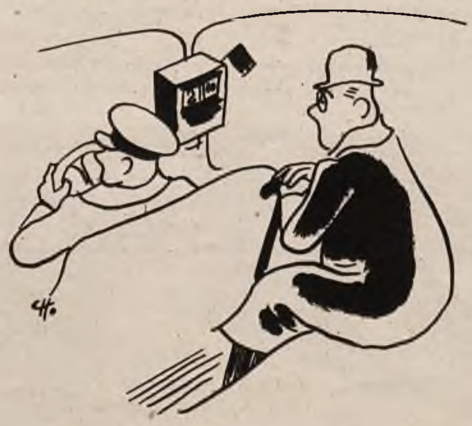
Stwierdzenie tego stanu rzeczy nie było zbyt oryginalne: to samo zdarzało mi się przez pozostałe jedenaście miesięcy!

Cyfry przemieniały się w moich oczach w jakieś złośliwe larwy, szczerzyły do mnie swe złośliwe zera, wyciągały głodne zawsze ręce, kłuły jedynkami. Naokoło mnie powstała niesamowita atmosfera: kartki na kalendarzu opasywały się dookoła mnie,, jak przysłowiowy wąż z posągu Laokona Chciały mnie udusić, zgnębić, zniszczyć.

Postanowiłem zareagować ostro, obciąć kilka łbów hydrze wydatków, w tym wypadku kilka zer. Zacząłem obmyślać, kalkulować na co wydałem w przeszłym mieşiącu. I doszedłem do wyników sensacyjnych. Poznałem perfidję małych wydatków, stwierdziłem stare przysłowie, że „małe strumyki tworzą duże rzeki"... I tak po nitce do kłębka.

Najgorsze są właśnie te wydatki, które podchodzą do człowieka w skórze baranka z uśmiechem, a są właściwie groznemi wilkami: garderoba, papierosy, gazety „mała czarna" w szklance, bo bywają małe czarne nie w szklance również bardzo niebezpieczne dla kieszeni, papierosy, jakieś drugie śniadanko, zupełnie niewinne, z wermutem, a jednak kładące kieszeń na... płótno, i wiele innych rzeczy. Ostatecznie po długich kalkulacjach zabrałem się do wyciągania średniej matematycznej i okazało się, że jest ona wcale nie średnia, a dosyć pokaźna.

Zacznijmy od kawiarni: przeciętnie obciążony kawiarnianemi nawykami człowiek bywa w niej 3 razy tygodniowo: garderoba kosztuje go 60 gr. tygodniowo, miesięcznie 2.40, rocznie 28—29 złotych. Same pół czarnej, skromnie licząc bez jakichkolwiek „wyskoków" ciastkowych tygodniowo 1.50—2.00 zł., miesięcznie 6 do 8 złotych, rocznie 72 zł. do 96 zł. Człowiek chorobliwie ciekawy nowości gotów kupować gazetę raz na dzień po 20—25 gr., tygodniowo 1.40 do 1.75 zł., nie, lepiej abonować! A teraz bolączka ludzkości — papierosy. Dziennie spalamy jako palacze średniego typu 10 płaskich, czy innych, tj. dziennie puszczamy z dymem 50 groszy, miesięcznie 15 zł., rocznie 180 zł. minimalnie!



Licznik taksówki pełen jest złośliwości...

A teraz dalsze wnioski z tych kilku zestawień: ludzie często chodzący do kawiarni mogliby za te pieniądze, zostawione w garderobie kupić sobie rocznie nowy płaszcz, za lat dwa nawet niezłe futerko! Za kawę wypitą małemi dawkami przez cały rok mogli by, o ile często chodzą do kawiarni, tj. 1 do 2 razy dziennie, kupić sobie bilet do Brazylji i tam na miejscu wypić szklankę najlepszej kawy. Za gazety mogliby kupić sobie niejedno cenne dzieło! Tak jedno do drugiego zebrane dałoby pokaźną sumę, sięgającą fantastycznych wysokości!



Z opłat w garderobie możnaby sobie kupić niezły płaszcz...

Zacząłem uskuteczniać moje zamierzenia budżetowe, tworząc najprzód budżet ramowy i zyskując sam przed sobą absolutorjum! Okazało się jednak, że z jednej strony budżet wkrótce ściśnięty, jak śledź holenderski w beczce, począł z tych ram wychodzić, a z drugiej, że utrzymanie się w tych granicach było połączone poprostu z przykremi skutkami.

— Czy pan widział zaćmienie słońca? — pyta mnie pewien znajomy.

— Zaćmienie jakie? — odparłem zdziwiony.

— Jakto jakie? Słońca, wczoraj godzina 3, minut 40! — i spojrzał się tak, jakby chciał powiedzieć „to pan ma zaćmienie, ale mózgu!"

Przestałem czytać gazety. Zacząłem chodzić częściej do kawiarni, aby primo zebrać wiadomości z gazet, a następnie aby nie paląc „nałapać" dymu z papierosów cudzych na cały dzień. To, uważałem, może się kalkulować. Złapałem się wkrótce na tem, że nie kupowałem wędlin, a przestawałem godzinami przed oknami wędliniarni, lub stałem u progu jakiejś garkuchni, by nasycić się zapachem zupy. Wiedziałem, co w niektórych z nich w pewne dnie dają: kartoflanki, barszcz, rosół, grzybową. Menu tygodniowe układałem w ten sposób: poniedziałek — Florjańska — zupa grzybowa, wtorek — Szewska — barszcz, środa — Karmelicka — flaczki itd. Przestałem też nosić płaszcz czy futro, by nie płacić za garderobę: przeziębiłem się i grypa kosztowała mnie 100 zł. z komplikacjami nerkowemi i wekslowemi.

Zniechęcony do najwyższego stopnia temi próbami doprowadzenia budżetu do porządku, zwróciłem się do studjowania dzieł specjalnie tej dziedzinie finansowej poświęconych. Przewertowałem więc „Kapitał" Marxa, życiorys Forda, kieszonkowy podręcznik profesora Niemeyera z Getyngi „Wie bringe ich meine Einnahmen mit den Ausgaben in Einklang?" w 12 tomach in folio, ale wnet okazało się, że wszystkie te dzieła, to tylko teorja.

Unikałem ludzi, gdyż cały świat mi

Puszczamy z dymem istne fortuny...



Skromne śniadanko nie obejdzie się bez wermutu...



obrzydł. Zwłaszcza unikałem tych, od których pożyczyłem swego czasu jakieś pieniądze.

Zaczęto mnie uważać za oryginała.

Pewnego dopiero razu, gdy absolutnie zdesperowałem co do doprowadzenia budżetu do równowagi, przyszła mi na myśl stara, ale zawsze dobra anegdota o panu, który tłumaczy swemu przyjacielowi, ile wydaje pieniędzy na palenie i że za te pieniądze mógłby był sobie już dawno kupić ten dom, przed którym stał.

— Dom ten właśnie do mnie należy! — odparł pan, któremu tłumaczył przyjaciel.

Tak. Nie wydałbym na papierosy, tobym wydał na co innego, nie zapłacę 50 gr. za małą czarną, to kupię małej czarnej suknię za zł. 50 i tak dalej, i tak dalej...

Więc trudno, wydawajmy niepotrzebnie pieniądze, bo primo pieniądz jest okrągły i istnieje dla nas, a nie my dla niego, a secundo, bo jest to widocznie... konieczne!

Jgm.

Ciąg dalszy ze str. 5-ej.

Po oddaniu na parterze wierzchnich okryć, wchodzimy po marmurowych schodach na górę. W drodze, na podeście III piętra mijamy pluton ułanów, oddający honory każdemu z wchodzących wojskowych.... Po chwili jesteśmy już w pierwszej sali, gdzie faluje różnobarwny tłum. Jeden z towarzyszących mi panów — warszawianin, nie znający osób z krakowskiego towarzystwa, rozpytuje się o obecnych:

— Czy nie może mi pan powiedzieć, kto stoi w tej grupie panów w kontuszach? — Wzrok mój biegnie w wskazanym kierunku i obejmuje kilka postaci, wychodzących z ram otoczenia.

— Ależ tak naturalnie... to ordynat krzeszowicki Adam hr. Potocki, p. Karol Żeleński z Grodkowic i hr. Tarnowski z Chorzelowa, wszyscy trzej w wspaniałych strojach polskich... rozmawiają z hr. Adamową Potocką... jak się panu podoba jej stylizowana tualeta ze złotemi aplikacjami?

— Suknia jest piękna, ale jeszcze piękniejsze rubiny w kolji... Ale może najlepiej będzie, jeśli pan pokolei wymieni osoby, koło których przechodzimy...

— Dobrze! niech więc pan nastawi uszu i trzyma mnie się blisko, bo ten gwar setek głosów uniemożliwia swobodną rozmowę. Zaczynam! Tam, w pobliżu wymienionych już osób, stoi ordynat łańcucki Alfred hr. Potocki; ubrany jest we frak i rozmawia właśnie z rektorem prof. Fryderykiem Zollem, jego małżonką i ks. kanonikiem Podwinem. Opodal widzi pan drugiego przedstawiciela Almae Matris, prof. Taubenschlaga z żoną. Teraz zaś mijamy grupę, w której stoją reprezentanci Izby adwokackiej dr Szołayski, dr Jakubowski i in. Obok nich radni m. Krakowa dr Z. Kwieciński i dr Kuhn z żonami; nieco dalej złoci się piękny kontusz hr. Mycielskiego z Wiśniowej, który właśnie przechodzi do następnej sali. Chodźmy za nim... tam zdaje się coś się odbywa.

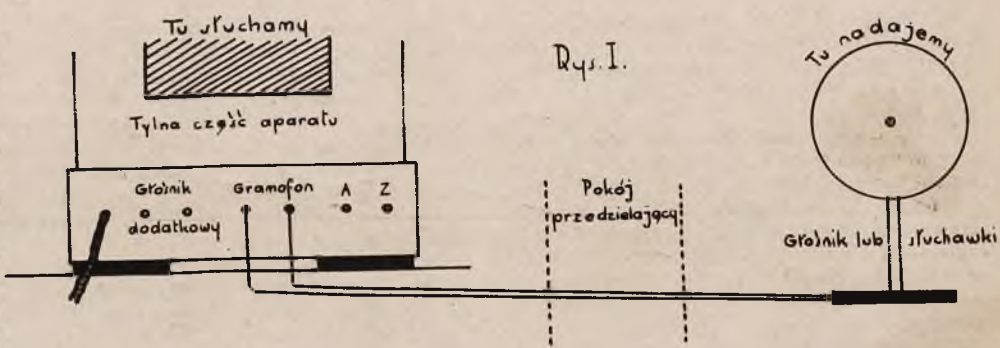
Ale zanim zdążyliśmy dotrzeć do portalu sali „pod głowami", odezwały się z klatki schodowej fanfary, oznajmiające przybycie na raut Pana Prezydenta R. P., Regenta Węgier, Marszałka Śmigłego-Rydza i dostojników państwowych. Zgromadzeni w salach goście utworzyli szpaler... rozmowy umilkły i oczy wszystkich skierowały się w stronę dyrektora protokółu dyplomatycznego, hr. Romera, który zwrócony w stronę postępującego Regenta, wprowadzał dostojnych gości. Przez szpaler przesunęły się barwną wstęgą wszystkie te osoby, które brały udział w galowym obiedzie. Zaraz potem rozpoczął się w sali „pod głowami" koncert z udziałem śpiewaczki p. Korwin-Szymanowskiej i skrzypka p. Niemczyka, przy akompanjamencie prof. Lefelda z Warszawy.

— Niech pan spojrzy na tę grupę pod

Dokończenie na str. 20-ej.

Hallo! Urządzamy audycję radiową w domu.

Jak to możliwe, zapytacie liczni Czytelnicy i amatorzy radja, przecież na to potrzebna jest cała stacja nadawczego nie posiadamy? Co najwyżej posiadacza z X kilowatami w antenie, mikrofonem i wiele jeszcze innych rzeczy, a my przecież my odbiornik lampowy nowszej konstrukcji z umieszczonym wewnątrz głośnikiem, słać teraz swoim najbliższym najserdeczniejsze życzenia, nadać koncert życzeń i wiele innych miłych słów, wprawdzie nie na falach eteru, ale to jest dla nas mniej ważne. Każdy z nas może wypróbować swoje zdolności w charakterze prelegenta radjowego bez jakichkolwiek kosztów. Specjalne wrażenie robi taka audycja na nieprzy-



Rysunek I. (patrz tekst).

z osobnemi gniazdkami na adapter gramofonowy i gniazdkami na dodatkowy głośnik. — No i więcej prawie nic nie jest nam potrzebne, bo tylko musimy poszukać słuchawek radjowych, które znajdują się prawie w każdym domu, lub też głośnika i kilkanaście metrów drutu izolowanego. I to wszystko? — zapytacie — oczywiście. Moglibyśmy zaraz przystąpić do próby głosu przed mikrofonem (słuchawki lub głośnik), przestrzegam jednak, że audycję każdą należy starannie przygotować. Artyści ani speaker nie muszą mieć tremy, gdyż rodzinne koło słuchaczy napewno wszystkie usterki wybaczy. Przystępujemy więc do technicznej strony urządzenia audycji.

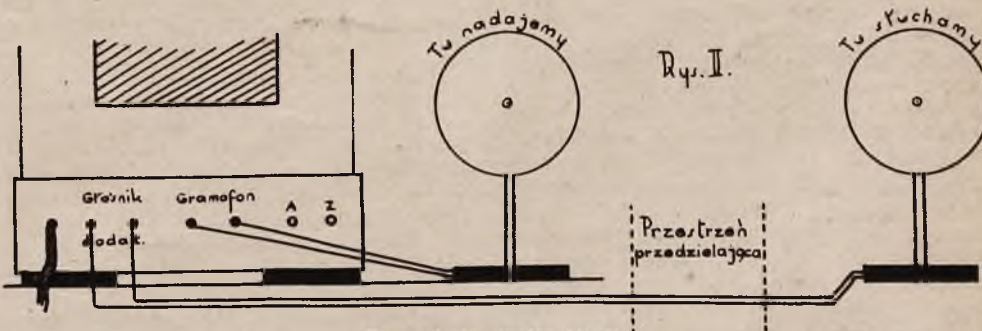
Z drutu izolowanego sporządzamy dwa przewody opatrzone na końcu wtyczkami, wtyczki wkładamy do gniazdek w aparacie przeznaczonych na umieszczenie adaptera gramofonowego. Następnie druty prowadzimy do trzeciego pokoju i załączamy do nich głośnik lub słuchawki radjowe. Pamiętać należy o tem, że właściwy aparat powinien być oddzielony od dodatkowego głośnika przynajmniej jedną ubikacją, aby głos nie mógł docierać bezpośrednio do pokoju, w którym znajduje się właściwy aparat. Całkowity schemat połączeń uwidacznia rysunek I.

Po tych przygotowaniach wyłączamy antenę i uziemienie (aparat sieciowy nastawiamy do nagrywania płyt gramofonowych), i włączamy prąd. A teraz uwaga! Mikrofon otwarty! Każdy szept przy dodatkowym głośniku jest doskonale słyszalny w głośniku umieszczonym w aparacie. Możemy prze-

gotowanych słuchaczach, którzy sądzą, że audycja jest nadawana ze studja.

Opócz tej miłej rozrywki, którą może nam dać aparat radjowy nowoczesnej konstrukcji, może mieć on dla nas duże wartości użytkowe. Umieszczając szereg głośników w salach, w których znajdują się wartościowe objekty (załączamy je według rysunku I), możemy w każdej chwili przy pomocy aparatu sprawdzić, czy nie dostali się tam niepożądani goście. Mamy też w domu oprócz urządzeń do słuchania radja doskonały i nowoczesny telefon bez słuchawek, co dla większych mieszkań może mieć dużą wartość. (Połączenia wskazuje rysunek II).

I oto jeszcze jeden obrazek. Jesteśmy posiadaczami willi czy też skromnego domku, otoczonego dookoła parkanem. Furtka wejściowa w parkanie znajduje się o 30 m od domu i za każdym dzwonkiem musimy stale fatygować się do furtki, aby ją otworzyć. Spacer taki w zimie nie bardzo jest przyjemny a czasem i bezcelowy. Bardzo łatwo można tego uniknąć przez zainstalowanie głośnika przy furtce (zabezpieczyć go przed kradzieżą) i połączyć go z aparatem, jak to wskazuje rysunek II. Po włączeniu prądu do aparatu możemy rozmawiać z osobą, będącą przy furtce, nie wychodząc zupełnie z domu.



Rysunek II. (patrz tekst).

Jak widzimy aparat radjowy może nam służyć nietylko do słuchania radja, ale może stać się sprzętem niezbędnym w każdym nowoczesnym domu.

Antoni Budzicki.

Dokończenie ze str. 10-tej.

raližował ruchy i odbierał zdolność myślenia. Ucieczka! Nawet ta była niemożliwa w obliczu potwora, którego oczy zdawały się wywierać wpływ hipnotyczny, a przenikliwy zapach odurzać i oszałamiać.

Powoli, nieznacznie, nie spiesząc się, jaszczur zaczął rozwijać swe potężne cielsko. Podniósł głowę, jakby chciał się upewnić, że nie uciekłem, a potem niezdarnie zaczął czołgać się w moją stronę. Bóg jeden wie, w jaki sposób skończyłaby się ta przygoda. To pewne, że nie dorosłem do roli Krakusa i nie myślałem o zaatakowaniu potwora. Stałem, jak urzeczony, nie wiedząc co czynić.

I kto wie, czy nie przypłaciłbym życiem tego spotkania, gdyby nie moje wierne psy. Z dziwnego stanu odrętwienia i osłupienia, o jakie przyprawił mnie i mego towarzysza widok jaszczura, zbudziło mnie nagłe żałosne skowyczenie. Oba psy, które przybiegły do wąwozu i zatrzymały się na zakręcie, dały znak życia. Był to jakby sygnał do działania. Ocknąłem się, przyłożyłem sztucer do ramienia i dałem ognia. Potwór, ugodzony pociskiem, zatrzymał się i zwinął z bólu. Wystrzeliłem po raz drugi, mierząc między oczy. W tej chwili huknęła również strzelba Husarskiego...

Nie chcąc narażać się na atak zranionego zwierza, rzuciliśmy się do ucieczki. Ale u wejścia do wąwozu przystanąłem. Jakkolwiek od nory dzieliła nas przestrzeń prawie stu metrów, słychać było wyraźnie, że jaszczur miota się i wije w bezsilnym gniewie. Wpatrzeni w rozpadlinę, czekaliśmy na zjawienie się jego, aby szukać ocalenia na stałym lądzie. Czekaliśmy naprożno. Pięć, dziesięć minut... Jeszcze jakiś hałas, którego źródła nie mogłem sobie wytłumaczyć, a potem cisza... Trwaliśmy w milczeniu, nadsłuchując.

— Nie rusza się — rzekł po chwili Husarski. — Może nie żyje?

Po krótkim namyśle zawróciliśmy do wąwozu i z całą ostrożnością zaczęliśmy skradać się w stronę nory. Psy szły za nami, węsząc i poszczekując. Wychyliłem głowę z poza zakrętu. Na dnie kotlinki leżał olbrzymi jaszczur z głową zwróconą w stronę nory i opuszczoną bezwładnie, bez ruchu i bez życia. Miał zgórą pięć metrów długości...

— — — — — —

Oto opowieść o najciekawszem polowaniu, w jakiem brałem udział.. wyprawie dosłownie bajecznej i nie zasługującej na wiarę. A jednak prawdziwej. Nie wspominałem o niej nikomu z przyczyn zupełnie zrozumiałych. Każdy przyznałby z pewnością, że Polesie jest dla nas wszystkich jeszcze zagadką, że jego błota stanowią teren niezbadany, nieledwie egzotyczny, ale że nie mieszkają tam żadne smoki i potwory.

W ostatnich czasach zaszły jednak wypadki, które rzucają światło na moją dziwną przygodę. Biorąc pod uwagę niektóre szczegóły i łącząc je z sobą, gotowy jestem zaryzykować dziś pewną hipotezę. Hipoteza to śmiała, ale wielce prawdopodobna. Słyszeliście Państwo zapewne o wielkich postępach, jakie poczyniła w ostatnich latach nauka o hormonach, tych dziwnych ciałach, od których zależą najważniejsze czynności fizjologiczne naszego organizmu. Słyszeliście może i o hormonie wzrostu, odkrytym w przysadce mózgowej przez uczonych amerykańskich, o tym tajemniczym związku, dzięki któremu z małych i słabych istot przekształcamy się stopniowo w jednostki silne i duże. Mało wiemy jeszcze o tym hormonie, ale ostatnie doświadczenia zdają się wróżyć, że może on okazać się ciałem bezcennej wartości... Wspominałem, że wuj mój był znakomitym fizjologiem i że pracował długo zagranicą nad pewnemi gruczołami ustroju człowieka... że prace te kontynuował po powrocie do kraju. Być może, że stary Ostop miał słuszność twierdząc po oglądnięciu zastrzelonego jaszczura, że był on jednym ze zwierząt doświadczalnych wuja... zwyczajną salamandrą, rozwiniętą do potwornych rozmiarów dzięki karmieniu go wyciągami, zawierającemi produkowane przez wuja substancje. Chodziło zapewne o hormon wzrostu. Wuj zabrał do grobu tajemnicę uzyskiwania go w silnem stężeniu. Wiem, że robił doświadczenia na żabach i jaszczurkach, a jeśli jedno z tych zwierząt uciekło z pracowni... jeśli przedostało się na bagna i pod wpływem zastrzykiwanego mu hormonu w dużych dawkach przeistoczyło się w potwora, który zwrócił uwagę tubylców... wtedy istnienie smoka-salamandry byłoby wytłumaczone.

Rzecz prosta, jest to tylko hipoteza, ale i jedyne możliwe wyjaśnienie. W każdym razie zastrzegam się, aby opowieści mojej nie uważano za jedną z tych historyj myśliwskich, których słuchać można tylko po dobrym obiedzie. Nie wymagam, abyście wierzyli moim słowom... ale proszę o jedno. Nie uważajcie mnie za typowego blagiera!

——o——

Dokończenie ze str. 19-ej.

oknem — podejmuję po chwili dalszy tok objaśnień — to przedstawiciele literatury — dr. Zygmunt Nowakowski i poeta Józef Gałuszka z żoną, a obok nich mistrze pendzla i dłuta: rektorzy Akademji Sztuk Pięknych — Józef Mehoffer, Kazimierz Laszczka i Teodor Axentowicz. Dalej widzi pan senatora Rollego, b. prezydenta Krakowa i wiceprezydenta Radzyńskiego, koło których przechodzi właśnie dyr. Kazimierz Dobija z małżonką. Tam znowu na prawo pod arrasem zgrupowali się reprezentanci stanu chłopskiego... Prawda, jak malowniczo wyglądają stroje krakowskie i śląskie? Ale tu jest duszno... wycofajmy się do innych sal, gdzie jest więcej powietrza, tembardziej, że koncert się kończy i wszyscy wnet podążą w stronę sali „pod ptakami" i do bufetu.

Po krótkiem cercle można już było zapalić papierosa. W sali, z której wiodą schodki do loggii, unosi się błękitnawy obłok dymu... Na marmurowej posadzce, ułożonej w czarno-białe wzory, mieni się niby wspaniały bukiet najpiękniejszych kwiatów, różnobarwny korowód pań, które wsparte na ramieniach mężczyzn w paradnych mundurach i frakach, ozdobionych gwiazdami orderowemi, przechodzą z sali do sali, potem wracają, wkońcu przystają, prowadząc ożywione rozmowy.

Tworzą się grupy... Dopiero teraz Warszawa podaje rękę Krakowowi. Mam możność przypatrzyć się po raz pierwszy z bliska pięknym tualetom, których przepych walczy o lepsze z wytwornością i elegancją. Przechodzi właśnie koło nas małżonka P. Prezydenta R. P. pani Marja Mościcka w pięknej sukni ze srebrnej lamy, zwracającej ogólną uwagę. Towarzyszy jej pani ministrowa Beckowa w naskróś oryginalnej kreacji z gładkiej zielonej lamy i z aksamitnemi wstawkami. W jednej z grup dostrzegam panią ministrową Kościałkowską w efektownej tualecie z jasnego transparent, zajętą ożywioną rozmową z naczelnym redaktorem „I. K. C." p. Marjanem Dąbrowskim i jego małżonką.

Rozglądając się w dalszym ciągu po sali, zbliżam się do grona osób, wśród których poznaję panią ministrową Romanową (wytworna tualeta w stonowanym kolorze zielonym) rozmawiająca z panią radczynią Zaniewską (piękna tualeta w kolorze jasnoniebieskim) i znakomitym pianistą p. Mieczysławem Münzem. Następuje prezentacja i kilka chwil czarującej rozmowy. Wnet obowiązek sprawozdawcy wzywa w inną stronę. Mój warszawiak, jakby z pod ziemi wyrósł i nowu zadaje mi pytania:

— Kto są ci młodzi państwo, którzy stoją w sąsiedztwie pani ministrowej Ulrychowej i pani ministrowej Bobkowskiej? Nie orjentuje się pan? Pomogę panu... ministrowa Ulrychowa jest w sukni z białej lamy w złote kwiaty, a ministrowa Bobkowska w tualecie ze srebrnej lamy....

— A tak, teraz już wiem, o kogo się pan pyta. To dyr. Henryk Paschalski z żoną, a obok nich znakomity chirurg prof. Glatzel z małżonką. Ale przejdźmy wreszcie do sal bufetowych, bo moje pragnienie w tej wysokiej temperaturze wymaga natychmiastowego ugaszenia...

— Zgoda, jednak niech pan nie próżnuje i w dalszym ciągu mnie objaśnia. Kto jest ta fascynująca kobieta przed nami?

— To Zofja Jaroszewska, gwiazda naszej sceny. Tam na lewo przechodzi prof. U. J. dr Jachimecki z małżonką i dyr. Mieczysław Dobija z żoną p. Zofją Nakoneczną, którą pan zapewne lepiej zna, niż ja, ze scen warszawskich. Tuż za nimi, ten pan wysokiego wzrostu, to dyr. teatru p. E. Bujański, który rozmawia właśnie z wicewojewodą dr Małaszyńskim i wiceprezydentem dr Klimeckim. Obok tej grupy stoi redaktor „IKC" dr Rubel z małżonką i prof. Wincenty Wodzinowski z córką. Ale teraz muszę już pana pożegnać, bo dalsza moja praca informacyjna chyba napewno pana nie zainteresuje. Idę do kuchni!

— Co takiego? przecież na to, by zaspokoić pragnienie, nie potrzeba robić wycieczek aż do kuchni...

— No tak, ale tu chodzi o... statystykę.

Staję przed obliczem pierwszego kucharza Polski, mistrza Modzelewskiego, dawniej stale pracującego na Zamku warszawskim, obecnie dorywczo angażowanego do wielkich przyjęć. Pytania i odpowiedzi padają szybko, jak na raporcie wojskowym:

— Co weszło w skład bufetu na raucie?

— Dwanaście półmisków ryb w majonezie i w galarecie (sandacz i szczupak), dziesięć półmisków drobiu na zimno (przeważnie indyk pieczony), osiem naczyń z pasztetem z drobiu, szesnaście półmisków szynki i ozoru w galarecie i osiemnaście salaterek różnych sałat. Prócz tego na stołach znalazło się blisko pięćdziesiąt kilo owoców.

— Ilu ludzi pracowało razem z panem?

— Sześciu kucharzy i dziesięciu kuchcików.

W drodze powrotnej na salę uzyskuję dalsze informacje, uzupełniające statystykę rautu. Jak się okazało, w bufecie odkorkowano przeszło 300 butelek lekkich win węgierskich i francuskich i wypróżniono ponad 18 dzbanów kruszonu. Usługiwało gościom 30 lokai.

* * *

Raut przeciągnął się aż poza północ. Opuszczając Wawel, rzuciłem raz jeszcze spojrzenie na oświetlone all giorno sale, przez które, jak w kalejdoskopie przewijał się sznur pięknych strojów narodowych, paradnych mundurów wojskowych, wyzłoconych fraków dyplomatów, powłóczystych fjoletów dostojników kościelnych i cała gama kolorów, zaklętych w niezliczone kreacje mistrzów kobiecego stroju.

I nie mogłem oprzeć się dominującemu wrażeniu, że byłem świadkiem jednej z owych chwil, w których rodzi się historja narodów, że znalazłem się w gronie innych obok ludzi, którzy tę historję tworzyli i tworzą...

Juljusz Leo.



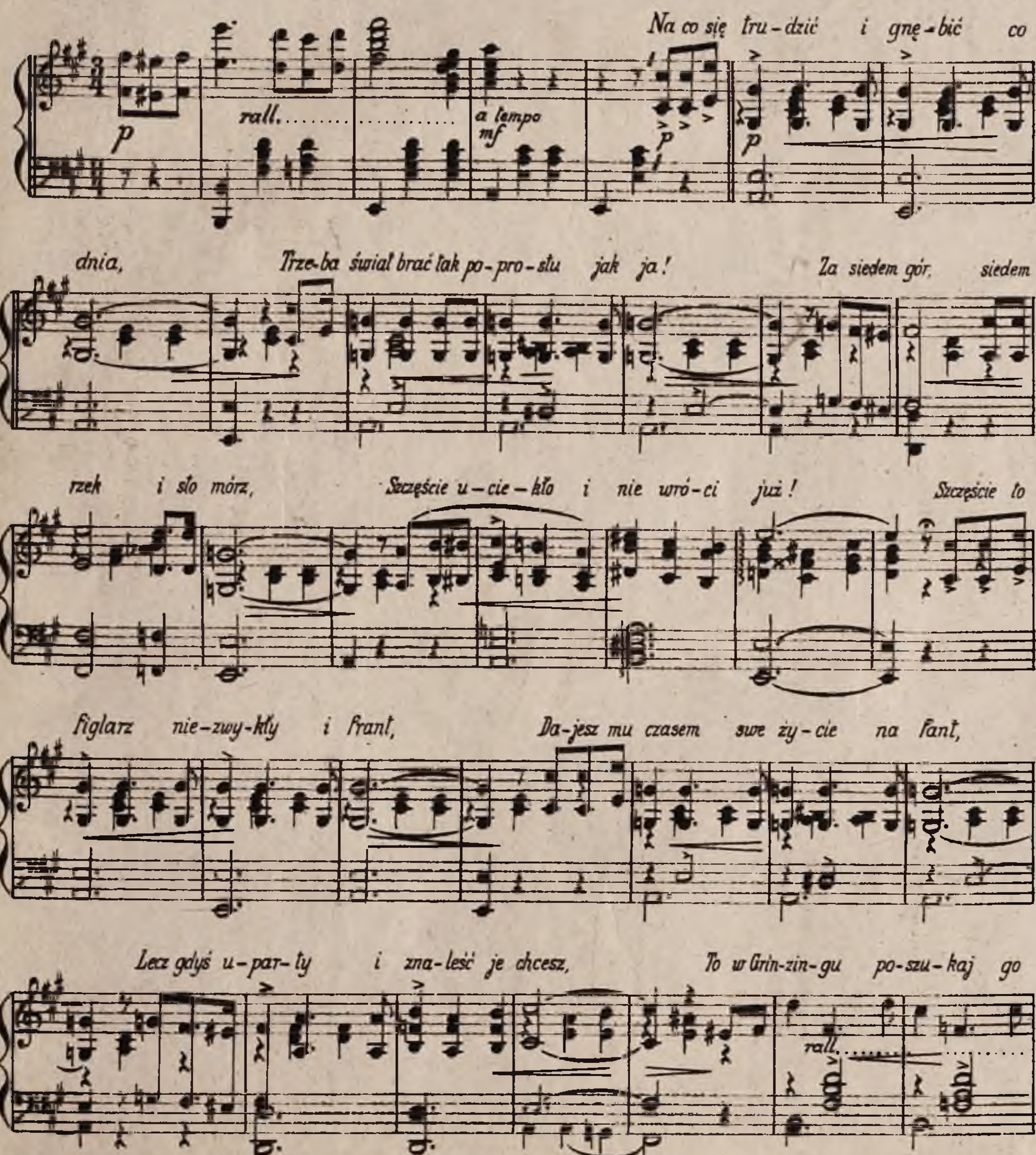
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

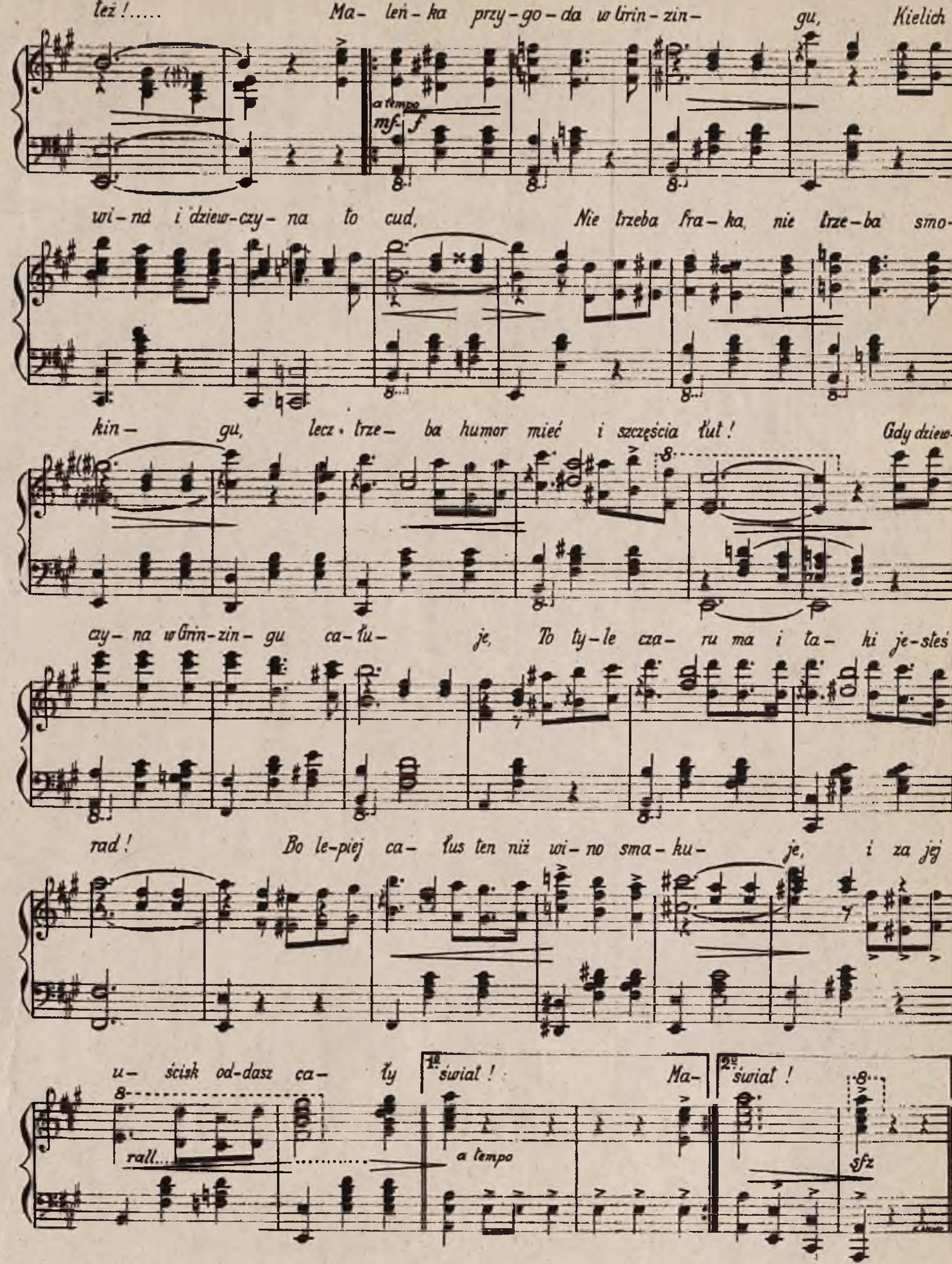
MALEŃKA PRZYGODA W GRINZINGU

WALC-PIOSENKA Z OPERETKI
„PRZYGODA W GRINZINGU"

SŁOWA:
WŁ. K.

MUZYKA:
ADAM LENCZOWSKI





„Towarzystwo opieki nad kawalerami"

M. CHÉROL · **NOWELA** · **Tłum. H. HELLERÓWNA**

— To chyba dowcip! Chociaż nie... Któżby dawał dla żartu tego rodzaju ogłoszenie?

Marek przeczytał jeszcze raz dokładnie treść ogłoszenia:

Dla kawalerów!

Podejmujemy się utrzymywania w porządku mieszkania i bieliznę. Na żądanie obsługa i jedzenie.

„Tow. Opieki nad Kawalerami...".

Poniżej był podany dokładny adres, godziny przyjęć i t. d. Zatem widocznie takie „towarzystwo" doprawdy istniało! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że przeczytał to ogłoszenie akurat dziś, kiedy wyrzucił obsługującą go żonę dozorcy, która dała mu bezczelną odpowiedź, ponieważ ośmielił się zwrócić jej uwagę na wieczny brud, panujący w jego mieszkaniu!

Zaraz, zaraz! Ależ był też podany numer telefonu. Wyjątkowo uzyskał natychmiast połączenie.

— Tak, tu towarzystwo, opiekujące się kawalerami... Nie jesteśmy jeszcze znani szerszemu ogółowi, ale mamy nadzieję, że nasze towarzystwo szybko się rozwinie... Pracujemy dopiero od niedawna... Jeśli tak, to prosimy pofatygować się do nas... Postaramy się załatwić wszystko tak, aby pan był zadowolony... Zatem proszę bardzo... Oczekujemy odwiedzin pana...

W pół godziny później Marek stał przed domem i czytał tablice. Było ich kilka, biała emaljowana szkoły muzycznej, dwie z bronzu biura pośrednictwa małżeństw i towarzystwa budowlanego na trzeciem piętrze i wreszcie szyldzik z napisem: „Towarzystwo Opieki nad Kawalerami" I schody.

— Zobaczymy — mruknął Marek, ale był mile zdziwiony, gdy wszedł do wytwornego gabinetu i zobaczył w głębi klubowego fotelu gładko ogolonego gentlemana w monoklu.

— Smith!

— Harrison. Nie wiem czy... Chciałem... w sprawie ogłoszenia... Czy to tu jest Towarzystwo Opieki...

— Owszem, jestem jego założycielem. Proszę, niechże pan siada.

Marek wpadł w fotel, stojący naprzeciw owego pana.

— Jestem dumny z mojego pomysłu. Stosunki tak dalece się zaostrzyły dla kawalerów, że niektórzy żenią się jedynie poto, ażeby się uniezależnić od żon dozorców, posługaczek i gospodyń. A jednak cała tak zwana wygoda, jaką rzekomo posiada człowiek żonaty, to wyłącznie kwestja organizacji. Czemu nawet najczulsza żona miałaby prowadzić lepiej gospodarstwo od odpowiednio zorganizowanego towarzystwa?

Marek kiwnął potakująco głową.

— Zorganizowałem to towarzystwo, a teraz kawalerowie winni się złączyć — ciągnął dalej Smith. — Im większe będzie bowiem moje towarzystwo, tem dokładniej będą spełniały swe zadania jego poszczególne człony, tem sprawniej będzie ono funkcjonowało. Ale nie bawmy się w szersze roztrząsania. Zatem życzy pan sobie, ażeby mieszkanie pana było zawsze porządnie posprzątane, żeby dbano o pana ubranie, bieliznę, podawano panu śniadanie... A czy kolacje jada pan zazwyczaj także w domu?.. W takim razie proszę za każdym razem pozostawić karteczkę. — I pan Smith wymienił taką śmiesznie niską sumę, że Marek zawołał: „Ależ pan nie może przecie za te pieniądze podjąć się załatwiania tego wszystkiego!

Pan Smith uśmiechnął się.

— Nasza organizacja pragnie służyć bezinteresownie i powstała dla dobra wszystkich kawalerów. Proszę jeszcze tylko o klucz od mieszkania pana i o podanie mi, o jakiej porze pan wstaje.

Gdy wyczytał w oczach Marka nieufność, napisał szybko parę słów na karteczce i podał ją Markowi, który przeczytał: „Towarzystwo Opieki nad Kawalerami zobowiązuje się zapłacić panu Harrisonowi sumę, jaką on sam oznaczy, za wszelkie z winy towarzystwa lub jego pracowników uszkodzone lub zaginione przedmioty. Smith".

Marek był pokonany; wyciągnął klucz z kieszeni. Ale pan Smith nie przyjął go.

— Zanim zostanie pan członkiem naszego towarzystwa, musimy załatwić jeszcze jedną formalność. Czy pan jest zaręczony, lub zamierza się zaręczyć?... W takim razie musielibyśmy zrezygnować, gdyż oczywiście nie chcemy uprzyjemniać kandydatom małżeńskim okresu narzeczeństwa.

— Zapewne nie jest pan miłym sąsiadem dla znajdującego się nad panem biura matrymonjalnego — roześmiał się Marek. — Ale co do mnie, może pan być spokojny.

— To mnie cieszy. Kto do nas przychodzi, nie powinien dzwonić o piętro wyżej — rzekł z zawziętością pan Smith. — Zatem proszę podpisać z łaski swojej ten dokument. O ile w ciągu czternastu dni nie zgłosi pan swego wystąpienia, zobowiązuje się pan nie żenić się przez pięć lat. Gdyby pan tego nie dotrzymał, zapłaci pan karę.

I wymienił dość wysoką kwotę.

— Widzę, że tu niema żartów — śmiał się Marek. — Ale jeśli idzie o mnie, to kara może być jeszcze wyższa. Nie będę potrzebował jej płacić.

— Spodziewam się tego w interesie naszego towarzystwa — pożegnał go Smith.

Przez cały dzień Marek zastanawiał się nad dziwnym charakterem tego towarzystwa. Jaką okaże się ta organizacja? Kogo przyślą mu do domu? Wkońcu położył się spać przekonany, że nazajutrz nikt się nie pokaże i — będzie zmuszony pójść po swoje klucze.

Zbudziło go ciche pukanie do drzwi jego pokoju.

— Więc jednak!

Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Po dziesięciu minutach zapukano znowu i jakiś kobiecy głos oznajmił: „Woda do golenia stoi pod drzwiami". Obok wody położono czysty ręcznik, który nie był własnością Marka.

W drugim pokoju stół był nakryty śnieżno-białym, również do Marka nienależącym obrusem, a obok leżała serwetka, stała w dzbanuszkach kawa, było świeże masło i bułeczki i zapakowane zgrabnie drugie śniadanie, aby mógł je z sobą zabrać. Marek nie chciał okazać swej ciekawości, ale zanim wyszedł postarał się zobaczyć, kto się tem wszystkiem zajął. Okazało się, że jakaś starsza kobieta o sympatycznym wyglądzie.

— Co to za bielizna? Skąd wzięło się śniadanie?

Wszystko przysłał pan Smith. Dopóki bielizna kawalerów nie była doprowadzona do porządku, organizacja dawała swoją, a o śniadanie starała się również, chcąc, ażeby członkowie mieli wszystko świeże i tanie. Kobieta nie wiedziała, czy zawsze będzie tu usługiwać, gdyż codziennie dawano im klucze i adresy, dokąd w danym dniu mają pójść. Pozatem żadnych wiadomości udzielić nie umiała. Posługaczki, praczki i szwaczki słuchały nakazów pań, które dbały o śniadania, kolacje, bieliznę i spełniały poniekąd funkcje gospodyń.

Marek zaczął podziwiać organizację Smith'a. Miał teraz wygodne życie. Jeśli ra-

nó dał znać, że chce jeść kolację w domu, to wieczór stół był zawsze bogato zastawiony. Ilekroć zamówił jakieś specjalne potrawy, podawano mu je punktualnie i doskonale przyrządzone.

Brudna bielizna znikała i w krótkim czasie zjawiała się zpowrotem w szafie pięknie wyprasowana. Ubrania były w najlepszym porządku, fałdy u spodni stale wyprasowane. Buciki na czas zaopatrywano w nowe zelówki i sznurowadła... Marek nigdy nie widywał służby i miał wrażenie, że sto pilnych rąk otacza go opieką i dba, ażeby mu na niczem nie zbywało.

Gdy przyjaciel Marka, Anatol wyraził pewnego razu zdziwienie, że w mieszkaniu Marka panuje taki wzorowy porządek, opowiedział mu o tem towarzystwie.

I Anatol zapisał się również na członka.

Pewnego dnia, gdy Marek siedział przy kolacji — jadał teraz codziennie w domu — Anatol wpadł do pokoju zdenerwowany: „Słuchaj Marku, czyś ty już kiedy widział te panie?

— Jakie panie?

— Te z zarządu! Te, które starają się o naszą wygodę! Smith zaimponował mi..

I zaczął opowiadać:

— Zczasem ta cała historia zaczęła mi się wydawać niesamowita. Tyle trudu i pieczołowitych starań i nie wie się nawet kto i zaco!... Wyliczyłem więc sobie, kiedy może nadejść taki nowy transport bielizny, uwolniłem się i wpadłem niespodzianie do domu. Otworzywszy pocichu drzwi, wszedłem do sypialni. I rzeczywiście przy szafie stała jakaś młoda osóbka i układała moją bieliznę. Usłyszawszy moje kroki, odwróciła się przestraszona, no i staliśmy i gapiliśmy się na siebie. Ah, jaka ona była śliczna! Wkońcu uśmiechnęła się i zaczęła się usprawiedliwiać, że nie wiedziała, że ja tak wcześnie wrócę. Oczywiście zacząłem jej pomagać, gawędziliśmy z sobą i — to strasznie miła dziewczyna! Opowiadała mi, że sama przygotowuje zimne mięsa. Teraz jeszcze lepiej mi smakują...

Anatol usiadł przy stole i zabrał się do jedzenia.

Marka rozgniewało to, że akurat Anatol dokonał tego odkrycia.

— Szynka jest szynką, a kiełbasa kiełbasa — mruczał gniewnie, smarując chleb masłem. A potem postarał się pozbyć Anatola, poszedł do sypialni i porozrzucał całą swą garderobę.

Obliczył wszystko dobrze, bo gdy wrócił nazajutrz do domu w południe, zastał młodą nieznajomą koło swej szafy. Zapewne była to ta sama dziewczyna, o której mu opowiadał Anatol. Była istotnie bardzo ładna i taka wesoła. Opowiedziała mu sama o spotkaniu z Anatolem i śmiała się z tego, co Marka wprawiło w dobry humor. Kiedy w czasie rozmowy przestraszyła się i zajrzała do notatnika, czy nie ma jeszcze tego dnia jakichś zajęć, poprosił ją, ażeby została u niego na herbatce i pobiegł po ciastka.

W toku rozmowy okazało się, że Marek i Elwira — tak nazywała się młoda panna — mają podobne zapatrywania, prenumerują jednakowe dzienniki, lubią teatr i podróże i t. d. Mimo, że oboje dbali o wygodę i porządek, nienawidzili przymusu i dlatego obawiali się małżeństwa i pogardzali tymi, którzy żenili się z wyrachowania lub w celu ułatwienia sobie życia. Nagle zegar wybił siódmą i Elwira zerwała się. Musiała pójść do Anatola. Prosił wczoraj o omlet, a ponieważ był to jej rewir...

Marek poczuł również zaraz apetyt na jakąś smaczną potrawę, ale Elwira absolutnie nie chciała dłużej pozostać. Chciał nawet zaczekać godzinę... Powiedziała, że ma służbę tylko do ósmej i zniknęła.

Marek był wściekły. Pobiegł do telefonu, połączył się z panem Smithem i zapowiedział mu, że od jutra chce jadać omlety. Tak, codziennie... A w niedzielę chce jadać również w domu obiady... Tak, także omlety!... Lekarz kazał mu jeść omlety!...

Mimo to nie miał spokoju. Wszak znał Anatola, tego uwodziciela kobiet!... I Elwira była u niego!... Miała do ósmej służbę. A później? Gdy ją o to zapytał, uśmiechnęła się i powiedziała, że potem rozpoczyna się jej życie prywatne. Mógł sobie to wyobrazić... u Anatola!

O wpół do ósmej Marek nie mógł już usiedzieć dłużej w domu. Jedzenie mu nie smakowało, stracił zupełnie humor... Włożył kapelusz i wyszedł. Poszedł do kawiarni, kręcił się po ulicach... wkońu znalazł się przed domem Anatola. W oknach mieszkania było światło. Oczywiście!...

— Przeszkodzę im — pomyślał i poszedł na górę. Anatol otworzył mu drzwi źle usposobiony.

— Jesteś sam?

— Tak.

Marek zaczął węszyć, jak pies gończy.

— Jadłeś omlet?

— Oczywiście! — oburzył się nagle Anatol. — Masz coś przeciwko temu, bym jadał omlety?

Dopiero po jakimś czasie wygadał się.

— Elwira to gęś!

Marek poczuł się urażony tem, że Anatol powiedział tak poprostu — Elwira.

— Zrobiła mi omlet, ale myślisz, że skosztowała z niego chociaż kawałek? Najpierw spóźniła się, potem spieszyła się i nie chciała jeść razem ze mną, a punktualnie o ósmej odeszła. Poskarżę się Smithowi.

Marek omal nie skakał z radości.

— No, wiesz nie pojmuję, czemu miałbyś się na nią uskarżać! Ma służbę do ósmej, a później może robić, co jej się podoba. Wkońcu nie jest bynajmniej obowiązana dotrzymywać ci towarzystwa...

— To nie, ale zobaczymy! Jutro zamówiłem sobie omlet na szóstą...

— Nie szkodzi — myślał Marek. — Ja zamówiłem wpierw.

I odszedł, pogwizdując wesoło.

Nazajutrz musiał dłużej pozostać w biurze, tak, że wrócił do domu dopiero na kolację. Pobiegł natychmiast do kuchni i zobaczył jakąś starą kobietę, która roztapiała masło na patelni.

— Kto... kto p...pani jest? — wyjąkał Marek.

— Pan Smith przysłał mnie tutaj, abym zrobiła panu omlet.

Marek chwycił za słuchawkę telefoniczną.

— Gdzie panna Elwira?

— U pana przyjaciela. Prosił ją, ażeby mu dziś zrobiła omlety.

— Ja także o to prosiłem! — krzyczał Marek.

Smith stał się mniej uprzejmy.

— Nie mogę kazać jej się rozedrzeć. Przecie to obojętne, kto panu robi omlety.

— Nie, to wcale nie obojętne! Takie omlety, jakie mi lekarz kazał jeść, umie przyrządzać tylko panna Elwira. Rozmawiałem z nią i chcę, żeby mi robiła codziennie kolację.

— Nie mogę pannie Elwirze płacić za to, żeby robiła panu kolację. Może zażąda pan jeszcze, aby gotowała panu obiady!

— Ale za Anatola może pan płacić? W takim razie przestanę należeć do towarzystwa!

Wkońcu ułożyli się, że Elwira dwa razy na tydzień będzie robiła Markowi omlety. W inne dnie miał jadać na mieście.

Odtąd Marek bywał w dobrym humorze tylko w te dwa wieczory w tygodniu, gdy Elwira przychodziła. Poza temi dwoma dniami był skwaszony, a w te, które poświęcała Anatolowi, denerwował się niesłychanie. Wprawdzie Elwira oswoiła się po jakimś czasie, jadała z nim razem i rozmawiała nieco dłużej, ale Anatol opowiadał mu, że wobec niego Elwira zachowuje się w ten sam sposób. Pozostawała jeszcze niedziela... Ale była taka krótka! Przedpołudniem Elwira musiała pracować w zarządzie, a wieczór także. Pewnego dnia oznajmiła Markowi, że w następną niedzielę wogóle nie przyjdzie, bo się zwolniła i Anatol zaprosił ją na wycieczkę, a potem do teatru.

Marek wiedział, co to u Anatola znaczy i pobiegł do niego. Anatol oburzył się:

— Co cię to obchodzi, co my robimy? To ja odkryłem Elwirę, nie ty, więc nie wtrącaj się do moich spraw! A może chcesz się z nią żenić?

Marek zaperzył się.

— A gdyby tak było?

— Dostałbyś kosza! Po pierwsze, Elwira ani myśli wychodzić zamąż i nie zrezygnowałaby dla ciebie ze swej wolności, a po drugie podpisała też takie zobowiązanie, jak ty. Skądżeż wzięłaby pieniądze, żeby zapłacić taką sumę!

Marek, pokłóciwszy się z Anatolem, wrócił przygnębiony do domu. Postanowił jednak przestrzec Elwirę.

Wysłuchała go uważnie, poczem rzekła:

— Ja też sobie tak myślałam...

— I mimo to chciała pani jechać na tę wycieczkę?

Elwira spojrzała na niego dziwnie:

— Nie wiem... Czemu nie miałabym pojechać? Taka wycieczka jest piękna, a teatr też. Co mam z tego, że cały dzień pracuję? Że muszę gotować raz panu, raz pańskiemu przyjacielowi, a raz Bóg wie komu?

— Tak, to straszne. Ale... ale czy nie zechciałaby pani może dla jednego... Czy nie zgodziłaby się pani prowadzić gospodarstwo u mnie?

Elwira wydęła usteczka.

— Wie pan... czy to doprawdy nie wszystko jedno, czy pojadę na wycieczkę, czy zostanę gospodynią?

Marek zarumienił się. Żal mu było, że sprawił jej przykrość.

— Ja... ja... myślałem to inaczej... gdyby pani wyszła za mnie... Tak, wiem... Musiałaby pani zapłacić Smith'owi... Ale jabym to... gdyby pani...

— Gdybyś ty — poprawiła Elwira.

— Ale nie pojedziesz na wycieczkę! — powiedział Marek w przerwie między jednym a drugim pocałunkiem.

— Owszem... ale z tobą!

Nazajutrz zawiadomili o zaręczynach Anatola i Smith'a. Marek poprosił Elwirę, ażeby zaniosła pieniądze Smith'owi i śmiał się, gdy w odpowiedzi przyniosła mu klucz z mieszkania i zawiadomienie, że przestał być członkiem towarzystwa. Anatol napisał mu: „Jesteś łajdak. Chciałem uczynić to samo. Nie przyjdę na wasz ślub".

Postanowili pobrać się za trzy tygodnie.

Pewnej niedzieli, kilka dni po ślubie, Marek przypadkowo znalazł pokwitowanie, które wypadło Elwirze z torebki. Opiewało ono na sumę, którą Elwira zapłaciła Smith'owi, ale było zaopatrzone w pieczątkę Agencji matrymonialnej „Powodzenie".

— Elwiro! Co... to jest?

— Pokwitowanie, podpisane przez Smith'a. Czemu pytasz?

— Ale pieczątka? Przecie jest napisane...

— Oczywiście! To pieczątka biura Smith'a ale z drugiego piętra. Jakto, kochanie, nie wiedziałeś o tem? Więc za cóż miałabym mu płacić?

Marek zamilkł. Miał wrażenie, że cokolwiek powie, ośmieszy się. Ale milczeć także nie mógł... Na szczęście zadzwonił telefon. Był to Anatol.

— Wiesz, nie gniewam się już na ciebie — mówił. — Smith jest niezrównany! Przysłał mi nową opiekunkę... prześliczna, szykowna, oczy jak węgle!

Marek już, już miał opowiedzieć Anatolowi o swem odkryciu, lecz tego nie uczynił.

— Więc jesteśmy znów przyjaciółmi? — rzekł. — Ale... ale, czy to prawda, że Edward wyrzucił swego służącego? W takim razie powinniśmy — jako jego przyjaciele — podać mu adres Smith'a, nie uważasz?.. Dobrze, więc zadzwoń zaraz do niego. Co? Ale nie obawiaj się chyba, Anatolu, aby Edward pokrzyżował twoje plany?...

I roześmiał się ironicznie, jak ktoś, kto wie więcej od innych.

KONIEC.



WieczóR KARNAWAŁOWY



Karnawał — to „punkt wrzenia“ życia towarzyskiego. Wielkie miasto przybiera specyficzny wygląd, a życie jego bije wzmożonem rytmem. Wystawy sklepowe mienią się tęczowemi barwami kolorowych tualet balowych, obłokami gazy, tiulu i miękich jedwabi — połyskują kosztownym połyskiem lam i brokatów. Tuż obok biało-czarne wystawy męskich magazynów mody reprezentują lśniącą czerń cylindrów i niepokalaną biel śnieżnych kamizelek frakowych. Kwieciarnie wabią oko przechodnia przepychem róż, mimozy i bzu — barwne afisze krzyczą wielkiemi literami o teatralnych premjerach, koncertach słynnych artystów, balach, redutach, rautach i dancingach. Wieczorem miasto tętni ruchem i gwarem. Ciemne limuzyny suną cicho po asfaltach, kryjąc w swych zacisznych wnętrzach piękne kobiety, strojne w wieczorowe tualety i futra, podobne do cennych klejnotów, zamkniętych w czarnych aksamitnych pudełkach. Wielkie tafle szyb kawiarni i restauracyj rzucają na trotuary refleksy światła i sciszone dźwięki muzyki. Obrotowe drzwi nocnych lokali kręcą się bezustannie, przepuszczając śpieszących na zabawę gości. Przed teatrami ustawiają się długim sznurem auta — na korytarzach i w foyer krąży strojna publiczność, czekająca na zaczęcie spektaklu.

Ruch pieszych powoli zamiera. Teatry, restauracje, kawiarnie i nocne bary wchłaniają przechodniów, zwabionych światłem, gwarem, obietnicą spędzenia kilku godzin w sztucznej, ale sugestywnej atmosferze. Po dniu chłodnej rzeczywistości, pracy, interesów, pośpiechu i nerwowego podniecenia — ludzie szukają zapomnienia....



Jak spędzić karnawałową noc? Mieszkańcy wielkiego miasta są trochę zblazowani... Na rewji w modnym teatrzyku byliśmy niedalej, jak wczoraj, — w operze nie grają dziś nic ciekawego, — proszony obiad u konsulostwa X, to nudna oficjalna „piła“. Więc może potańczymy?... W zacisznym barze światła są przyćmione — w takt muzyki jazzowej snują się na parkiecie ciasnym uściskiem splecione pary, oto cała recepta na gotowy nastrój... Karnawałowa noc ma różne oblicza...

Lady Like.



Efektowna suknia wieczorowa z czarnej krepy, ozdobiona w talji białemi kameljami. — Model: Germaine Caubit. Zdjęcia: Fot. Georges Saad.



W kole: Suknia wieczorowa z gazy imprimee w połączeniu z koronką. — Model: Marcel Rochas.



PORANNA GIMNASTYKA



Ćwiczenie pierwsze.

Dzisiejszy kącik gimnastyczny wskazuje, jak należy celowo rzucać piłką dla usprawnienia mięśni.

Ćwiczenie I. Uginamy lekko kolana, ramiona wyginamy ku tyłowi i ujmujemy mocno piłkę obydwiema rękami, przyczem plecy mają być wyprężone, głowa lekko uniesiona. Następnie wyrzucamy mocno piłkę ku przodowi w ręce partnera, stojącego w odległości 10 m., przyjmującego pozycję jak na ryc. 2. Odrzuca on piłkę w powyżej opisany sposób, poczem ćwiczenie zostaje powtarzane aż do uczucia znużenia.

Ćwiczenie II. Piłkę zastępuje nam kamień. Przyjmujemy tę samą pozycję, co w ćwiczeniu I, trzymając jednak kamień w dłoni, wyprężonej ku przodowi. Następnie przybliżamy sprężystym ruchem ramiona ku piersiom i odrzucamy kamień tak daleko, jak nam siły pozwalają, nie zatracając jednak równowagi. Partner podnosi rzucony kamień i odrzuca go w ten sam sposób. — I przy tem ćwiczeniu odległość między partnerami musi wynosić conajmniej 10 m. Po uzyskaniu wprawy, możemy odległość powiększyć. Gdy już powtórzyliśmy ćwiczenia dowolną ilość razy, wskazany jest wspólny bieg do mety, względnie bieg na określonej przestrzeni. Następnie kładziemy się i wypoczywamy po tych bądź co bądź utrudzających ćwiczeniach.



Ćwiczenie drugie.

Płyty są znowu w modzie...



Na zachodzie a częściowo i u nas obserwujemy nawrót do „domowego" życia towarzyskiego, które w latach powojennych straciło wiele na rzecz wszechwładnego dancingu, baru i gabinetów bridżowych.

Przyjęcia, wieczory, herbatki itp. urządzane w domu są znów modne i dają wiele pola do popisu pani domu. Prawdziwa kultura towarzyska może rozkwitnąć w całej pełni tylko w zaciszu prywatnego mieszkania, gdzie państwo domu mają możność nietylko dać się poznać jako wytrawni znawcy kunsztu towarzyskiego, lecz w pierwszym rzędzie jako znawcy ludzi... Nie trzeba bowiem zapominać, że najważniejszą sztuką t. zw. „towarzyskości" jest umiejętność odpowiedniego dobierania swych gości.

Nie zaprosimy na ten sam wieczór panią X, która nie lubi pana Y, nie zaprosimy powiedzmy bawiących w naszem mieście znajomych Anglików na kolację wraz z tymi z naszych znajomych, którzy nie mówią na angielsku — nie zaaranżujemy bridża dla tych, którzy tej gry nie umieją i nie lubią.



Dobór znajomych jest zasadniczym warunkiem dobrej zabawy — swobodnego samopoczucia — miłej niewymuszonej atmosfery.

Niemal zupełnie wyszły z mody wielkie przyjęcia; na ich miejsce wprowadza się zagranicą małe przyjęcia w dobranem gronie. Zimny bufet — muzyka i tańce, oto wszystko! Mimo to jednak panowie zjawiają się w smokingach a panie mają sposobność ukazać się w toaletach wieczorowych.

Uzupełnieniem zimnego bufetu jest bar domowy zazwyczaj w formie skomplikowanego mebelka na kółkach, który zawiera wszystkie ingredjencje do sporządzania cocktaili.

Drugim, niemniej od poprzedniego ważnym elementem jest muzyka. Dawniej najmowało się na całą noc pianistę, który „taperował" do upadłego, albo też — całą orkiestrę, co było bardzo drogie. Dziś, mając dobry patefon posiada się równocześnie doborowy jazz, który gra niezmużenie zarówno do tańca, jak i dla słuchu. Wybór płyt będzie w takim wypadku równie ważny, jak dobór znajomych. Aby ułatwić naszym Czytelnikom to zadanie, przytaczamy kilka nowości. *Zarah Leander* — piosenka p. t. „Kinostar", *Billy Bartholomew* — „Capriolen", *Joe Daniels* „Swing High — swing Low", *Frederic Hippman* „Serenata appasionata", *Harry Roy* — piosenki z filmu „Mississippi-Melodie", *Theo Mackeben* — „Obrazki paryskie", *Xavier Cugat* „It's no a secret I love You", *Fats Waller* „I've got a new lease on love", wreszcie niezapomnianej pieśniarki paryskiej słynnej *Lucienne Boyer* „Viens danser quand même".

Widzimy — wybór bogaty — trudno o milszy upominek niż jedna z tych płyt!

Scott.



ŻYCIE

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

IMIENINY MARJI MALICKIEJ

Dnia 2 lutego, w dzień imienin Marji Malickiej odbyło się w apartamentach artystki i Zbyszka Sawana przyjęcie dla przyjaciół solenizantki i zaproszonych gości. Na przyjęciu był obecny p. min. Starzyński, prezydent m. st. Warszawy z małżonką, oraz liczni przedstawiciele sfer artystycznych, filmowych, literatury i prasy. Z najwyższego gwiazdozbioru scenicznego i filmowego przybyły na tę miłą uroczystość:



Jadwiga Smosarska, Irena Eichlerówna, Zofja Lindorfówna, reżyserzy Waszyński i Szebego, cały zespół artystyczny Teatru Malickiej i wielu in. Artystkę obdarzono mnóstwem cennych upominków i kwiatów, dając solenizantce dowód wielkiej sympatji, jaką cieszy się wśród przyjaciół, koleżanek i kolegów. Na zdjęciu: Prezydent Starzyński składa Marji Malickiej gratulacje.

Fot. „As".

ŚLUB „GWIAZD"

Poniżej:

Słynne ongiś „cudowne dziecko" amerykańskiego filmu — Jackie Coogan poślubił swą koleżankę z Hollywood, uroczą Betty Grable, którą widzimy na zdjęciu w momencie, gdy ojciec składa jej gratulacje po ceremonji ślubnej.

Z ST. MORITZ

Poniżej:

Podczas gdy słynny tenor Ryszard Tauber, bawi w Wiedniu, gdzie nakręca film — jego małżonka, znana artystka filmowa Djana Napier przebywa w jednym z najbardziej znanych ośrodków sportów zimowych, St. Moritz (na zdjęciu).



PRIMABALERINA BALETU REPREZENTACYJNEGO





KONCERTY MIECZYSŁAWA MÜNZA



Prasa zagraniczna, rozpisująca się w superlatywach o występach naszego Baletu Reprezentacyjnego, podkreśla doskonałe kreacje choreograficzne primabaleriny zespołu p. Olgi Sławskiej, jej wdzięk, urodę i elegancję. Zdjęcie, które powyżej reprodukujemy, a na którem artystka wypisała dedykację dla Czytelników Magazynu „As", pochodzi z okresu występów Baletu w stolicy Francji.

Fot. Studio — Iris.

* * *

Na lewo:

Znakomity nasz wirtuoz-pianista Mieczysław Münz przybył po dwuletniem tournée koncertowem w Ameryce Południowej do kraju i tu wystąpił w kilku miastach, odnosząc pełny sukces artystyczny. Münz uda się wkrótce na koncerty do krajów północnych, a 7 marca grać będzie z warszawską orkiestrą symfoniczną pod dyr. Grzegorza Fitelberga w wieczorze, urządzonym na dochód Pomocy Zimowej w Teatrze Wielkim w Warszawie.

Na prawo:

Do Davos przybył słynny „gwiazdor" Maurice Chevalier z żoną, aby zaczerpnąć świeżego powietrza po wytężającej pracy w ateliers i nabrać sił na nartach i łyżwach. Widzimy go na zdjęciu (po prawej) w towarzystwie żony i przyjaciela w drodze na stadjon lodowy.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Davos.

CHEVALIER ŚLIZGA SIĘ...



CZY POTRAFISZ SAM ZROBIĆ LIKIER?

ISTNIEJĄ PRASTARE, DOMOWE PRZEPISY ROBIENIA LIKIERÓW, KTÓRE PRZECHODZĄ Z POKOLENIA NA POKOLENIE, Z MATKI NA CÓRKĘ. PODAJEMY PONIŻEJ KILKA TAKICH PRZEPISÓW, KTÓRE BEZWĄTPIENIA PRZYDADZĄ SIĘ KAŻDEJ DOBREJ GOSPODYNI.



CHARTREUSE

Jeden gram melisy, 1 gram hizopu, 1 gram gałki muszkatułowej, 1 gram cukru trzcinowego, 3 gramy dzięgielu pozostawia się przez 15 dni w zamkniętej wazie w 1/3 litra alkoholu 80-proc. Dodać syrop z 550 gramów cukru i 250 gramów wody; odcedziwszy alkohol pomieszać z syropem.



ANYŻÓWKA

Cztery krople esencji anyżkowej, pół litra alkoholu 80-proc., 375 gramów wody, 250 gramów cukru. — Przygotować syrop z wody i cukru i ostudziwszy go dolać do alkoholu.



LIKIER WYSP

Łupka z pół cytryny oraz z pół pomarańczy, 3 gramy trzcinowego cukru cejlońskiego, 1 gram łupki gałki muszkatułowej, 2 kwiaty koniczyny, dwa gwoździki, dwa gramy korjandru, 4 gramy gorzkich migdałów. Pozostawić przez miesiąc w litrze alkoholu i dodać następnie syrop z 350 gramów wody i 435 gramów cukru.

CURAÇAO DOMOWE

Łupki z sześciu pięknych pomarańcz. o grubej skórze moczy się przez 8 dni w alkoholu 90-procentowym. Celem uniknięcia ulatniania się alkoholu należy włożyć serwetę pod pokrywkę, znajdującą się na naczyniu, zawierającem alkohol, nie należy też podnosić pokrywy. Dziewiątego dnia przygotowuje się syrop z kila cukru w litrze zimnej wody i miesza się syrop z płynem zawartym w wazie, z którego odcedziło się poprzednio wszystkie stałe części. Nakoniec, i w tem właśnie polega cały sekret, wlewa się do tej mieszaniny szklankę gorącego mleka. Przez dwa dni należy pozostawić płyn w wazie. Na powierzchni płynu utworzy się żółta piana, świadcząca o tem, że likier się udał. Przelewać do flaszek powoli, filtrując przez papier. Otrzymamy w ten sposób dwa i pół do trzech litrów likieru. Nie należy zmieniać proporcyj, które posiadają widocznie jakiś magiczny wpływ na udanie się likieru. Im jest starszy, tem domowe curaçao staje się lepsze.

★

LIKIER TUNETAŃSKI

Półtora litra 80-proc. alkoholu, 30 gramów trzcinowego cukru, łupki z połowy cedratu, 30 gramów daktyli, 30 gramów fig, 15 gramów gorzkich migdałów, 8 gramów gałki muszkatułowej, pomieszać wszystkie te składniki i pozostawić je w alkoholu przez 15 dni. Wycisnąć je następnie przez płótno, dodać do alkoholu aromatycznego syropu przygotowanego z wody i cukru — i oto likier tunetański gotowy.





LIKIER KAWOWY

Wrzucić do litra wódki dwie pełne łyżki kawy o jasnym odcieniu, wyjętej codopiero z pieca, w którym się ją paliło. Kawę pozostawia się 15 dni w alkoholu, poczem osładza się syropem zrobionym z funta cukru i szklanki wody. Przed zmieszaniem z alkoholem syrop powinien ostygnąć.



LIKIER MIĘTOWY

Do dwóch litrów alkoholu 33-proc. wlewa się syrop, składający się z 2 kilo i 500 gramów cukru i litra i 3/4 wody. Dobrze zmieszać, dodać gram esencji miętowej, przelać do butelek. W ten sposób otrzymujemy pierwszorzędny likier.



LIKIER CYTRYNOWY

Rozetrzeć na dwóch cytrynach 375 gramów cukru w kawałkach w ten sposób, aby wyciągnąć z nich cały aromat, oraz olejek z skórki. Wrzucić potem cukier do litra wódki wraz z sokiem z dwóch cytryn, mieszać codziennie aż do chwili, gdy cukier się rozpuści, przefiltrować.

J. OVENS

DROBIAZGI W NASZEM MIESZKANIU



Grape-fruit podaje się w pięknej czarce z dymionego szkła.

Nowoczesne pojęcia estetyczne znajdują swe odzwierciedlenie nietylko w sztuce reprezentacyjnej i monumentalnej. Każdy drobiazg w mieszkaniu, każdy, najbardziej nawet użytkowy przedmiot, to temat, na który styl naszych czasów wypowiada swoje estetyczne credo. We wszystkiem, co nas otacza, szukamy piękna formy, piękna celowego, opartego o prostotę i szlachetność linji, a nie o profuzję i rozmaitość samej dekoracji. Chcemy, aby ramy naszego życia zewnętrznego odpowiadały w pełni jego warunkom, jego rytmowi i jego założeniom.

W nowoczesnem mieszkaniu co krok spotykamy drobiazgi, uzupełniające zasadnicze urządzenie, a nacechowane artystycznością kompozycji i wykonania. Na prostym, niemal surowym w swej zwartej bryle bufecie, ucieszy nasze oko ręcznie w srebrze kuta czara o harmonijnych kształtach, a obok niej barwna majolikowa misa, na której piętrzą się złociste pomarańcze i rumiane jabłka. Na stoliku z przyborami do palenia rozczuli nas staroświecki, z dzieciństwa dalekiego zapamiętany stoczek woskowy, zastosowany w sposób pomysłowy a nawskroś nowoczesny przy oryginalnej metalowej popielnicy. Sposób układania ciętych kwiatów w wazonach i rozstawienie tychże, jakże dziś daleko odbiegły od przedwojennego szablonu! Unika się wszelkiej symetrji i konwencjonalności, a nadewszystko przeładowania: dwie róże w smukłym kielichu z rżniętego kryształu — kilka tulipanów, rozrzuconych lekko w płaskiej czarze — gałąź kwitnącego krzewu w prostym flakonie — oto nowoczesny sposób wyzyskiwania kwiatów jako dekoracji naszych wnętrz.

Ulubionym — obok kwiatów i roślin — motywem zdobiącym nowoczesne mieszkanie — to światło. Jedno jego źródło umieszczone pod sufitem w środku przestrzeni pokoju — już nam nie wystarcza. Boczne stojące lampy, połączone ze stolikami, rzucające z pod pergaminowych abażurów stonowane, światło — nadają piętno zaciszności i domowego nastroju. Oryginalne świeczniki, barwne i lśniące polewą majoliki rzucają tu i ówdzie jasną plamę migotliwych blasków kolorowych, woskowych świec. Świecami również oświetlamy nasz stół na eleganckich obiadach: kandelabry o prostych linjach harmonizują pięknie z srebrami nakrycia stołowego i nadają mu wytworny charakter.

Piękne efekty osiąga się również przez specjalne płyty lustrzane, które układa się w pośrodku stołu. Wazon z kwiatami postawiony na takiej lustrzanej płycie wygląda niezmiernie efektownie.

Każdy przedmiot codziennego użytku może być estetycznym walorem w naszem życiu — każdy może posiadać swoiste, artystyczne piętno.

E. M.

Poniżej: Oryginalne w kształcie pudełko na papierosy, w którem przez podniesienie wieczka papierosy automatycznie wysuwają się w górę.





Na lewo: Kute w srebrze naczynia.



Na prawo: Staroświecki stoczek znalazł oryginalne zastosowanie w najmodniejszej popielniczce z kutego metalu.

Poniżej: Oryginalna wizytowa torebka z złotej skórki mieści w swojem wnętrzu papierośnicę i przybory do maquillage'u.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

SAŁATKA RYBNA JAKO PRZYSTAWKA. Łyżkę oliwy i łyżkę mąki zasmaża się na ogniu na jasno-złoty kolor, następnie zalewa zimnym rosołem z pod ryby i rozgotowuje na gładką masę, którą się miesza aż do zupełnego ostudzenia. Osobno uciera się majonez z 2 żółtek i 1/8 litra, oliwy, dodaje soli i cukru po odrobinie, łyżeczkę musztardy i sok z połówki cytryny lub łyżkę octu; gotowy majonez miesza się z wystudzoną zasmażką, poczem dodaje się dowolną ilość ryby gotowanej w słonej wodzie, oczyszczonej z ości i drobno pokruszanej. Sałatkę układa się na muszelkach, zalewa auszpikiem i po zastudzeniu ozdabia czerwonym kawiorem.

SAŁATKA W WĘGIERSKICH KOLORACH NARODOWYCH. Na środku sałaterki układa się kopiato marynowaną zieloną paprykę lub zielone pomidory. Dookoła papryki kładzie się pierścień sałaty ziemniaczanej lub fasolkowej (zaprawia się tylko octem i oliwą lub śmietaną). Ostatni pierścień stanowi sałata z czerwonej papryki z marynaty lub surowych pomidorów. Sałata ułożona na okrągłym białym lub szklannym półmisku wygląda bardzo apetycznie.

GULASZ WĘGIERSKI (POERKELT). Pół kg wieprzowiny od karku kraje się w niezbyt drobną kostkę i zasmaża wraz z sporo usiekaną cebulką na łyżce smalcu lub na słoninie. Zrumienione mięso przykrywa się i dusi przez pół godziny, poczem kropi się je łyżeczką octu, posypuje łyżeczką tłuczonego kminku, podlewa wodą, do połowy wysokości naczynia, dodaje soli i łyżeczkę papryki, zagotowuje, przykrywa szczelnie i dusi powoli, tj na kraju blachy. Kiedy mięso jest już miękkie, wyjmuje się je z sosu, z którego zdejmuje się tłuszcz, dodając parę łyżek śmietany, rozkłuconej z łyżeczką mąki i papryki. Sos zagotowuje wraz z mięsem i wydaje z kładzionemi kluskami lub bułczanym tz. serwetkowym knedlem, pokrajanym w plastry.

ŁOSOŚ LUB SZCZUPAK MORSKI W MARYNACIE. Dobrze wymytą rybę zalewa się wrzącą wodą z kawałkiem węgla drzewnego, pozostawia w niej przez 10 minut następnie wyjętą obsusza się, kraje w plastry, nasala je i odkłada na 1—2 godzin. W międzyczasie gotuje się smak z różnych pokrajanych jarzyn, tj. marchwi, pietruszki, cebuli i kawałka selera. Kiedy jarzyny są już miękkie, dodaje się trochę korzeni, szklankę kwaśnego wina białego oraz kieliszek silnego octu winnego lub sok z całej cytryny. Do tego smaku wkłada się wyjętą z soli i obsuszoną serwetą rybę i gotuje razem powoli. Ugotowaną rybę ostudza się, poczem można ją złożyć do słoja i zalać smakiem wraz z jarzynami.

Z KUCHNI NOWOCZESNEJ: KROKIETKI Z PŁATKÓW OWSIANYCH. Na 5 dkg płatków owsianych nalewa się pół szklanki wody i pozostawia przez godzinę pod przykryciem, potem gotuje się je przez pół godziny i przestudza dalsze dodatki: 3 dkg świeżego masła, 2 jaja, troszkę soli, łyżeczka siekanej zielonej pietruszki. Wymieszaną masę wykłada się na deskę, formuje z niej krokietki, osypuje bułeczką i smaży na maśle na kolor rumiany. Jako dodatek **sałata surówka** z marchewki i kalarepki, utartych drobnem tarle i zaprawionych cytryną i solą. Po wierzchu posypuje się sałatkę siekanym młodym szpinakiem.

SAŁATKA Z BANANÓW. Dwa banany, obrane z łupin, kraje się w plasterki i polewa na miseczce sokiem wyciśniętym z całej, dużej pomarańczy. 4 dkg cukru zagotować w troszce wody z kawałkiem skórki pomarańczowej i polać tym gorącym syropem banany. Podaje się dobrze zastudzone.

RUSKI KREM. 3 żółtka ubija się na parze z trzema łyżkami mączki cukrowej, poczem dolewa się mały kieliszek rumu i ostudzone miesza z szklanką bitej śmietanki. Krem ubrany konfiturami podaje się zastudzony na lodzie.

Z RECEPT BABUNI: LEGOMINA „PYSZNA". Trzy łyżki topionego solonego masła, 4 żółtka, łyżeczka soku cytrynowego i troszkę starej skórki, zarabia się z taką ilością mąki, aby się utworzyło ciasto tęgie jak na makaron. Ciasto podzielone na 7 części wałkuje się każdą część z osobna bardzo cienko na wielkość sporej tortownicy. Tortownicę naciera się suto masłem i wysypuje bułeczką potem wykłada się jednym z płatów ciasta. Osobno przygotować należy: tęgą pianę ubitą z 4 białek, 5 dkg parzonych, utłuczonych migdałów, trochę wymytych rodzynków, kilka łyżek konfitur, szklankę cukru i 10 dkg topionego masła. Pierwszy płatek ciasta kropi się masłem, posypuje cukrem, zmieszanym z migdałami i rodzynkami, kropi znów masłem, daje się na to kilka łyżeczek piany, przykrywa drugim płatem ciasta, kładzie konfiturę, kropi masłem i pianą, posypuje cukrem. Następny płat pokrywa się migdałami i rodzynkami oraz pianą itd., na przemian, aż wszystko się wyczerpie. Legominę nakrytą płatkiem ciasta, polewa się resztą masła i wstawia do piecyka na 3 kwadranse. W trakcie pieczenia polewa się legominę kieliszkiem wina, które musi wsiąknąć w ciasto.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Sitka, służące do cedzenia rosołów, zup, sosów itd. przybierają coraz to nowe kształty. — Wygodne w użyciu okazuje się np. w kształcie sosjerki, przez które szybko i bez rozlewania da się przecedzić każdy rodzaj sosu. O ile chodzi o naczynia węższe, to dostosowane są do nich sitka spiczasto wydłużone, których powierzchnia została w ten sposób znacznie powiększona, pozwalając na szybkie przecedzenie płynu — konieczne, gdy chodzi o gorące przyprawy i t. d.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 8 — **Luty** — 28 dni



NIEDZIELA 13 Katarzyny	Zupa Julienne. Sałatka rybna w muszelkach. Pularda styryjska z kompotem mieszanym. Legomina "pyszna". Kolacja: Marynowany łosoś z sałatą majonezową.
PONIEDZ. 14 Walentego	Rosół z kaszką. Pierożki z mięsem zapiekane z smażonemi ziemniaczkami. Zraziki cielęce w sosie śmietanowym z ryżem. Sałatka z bananów. Kolacja: Spaghetti z pomidorami.
WTOREK 15 Faustyna	Zupa grochowa z grzankami. Bulwy gotowane z rumianem masłem. Pieczeń wołowa na dziko z makaronem. Pączki z ciasta serowego z masą orzechową. Kolacja: Nóżki cielęce faszerowane.
ŚRODA 16 Julianny p.	Zupa cytrynowa z ryżem. Budyń z suszonych grzybów. Mostek cielęcy nadziewany z ziemniaczkami i marchewką. Chrust z sokiem malinowym. Kolacja: Smażona szynka w cieście.
CZWARTEK 17 Aleksego	Rosół z kury z grysikiem. Rizotto z zielonym groszkiem. Kura z rosołu z kompotem z suszonych śliwek. Budyń orzechowy z szodonem. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.
PIĄTEK 18 Flawiana	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Makaron z grzybkami zapiekany. Karp na paprycę po węgiersku z kluseczkami. Legomina z jabłek. Kolacja: Ryby bałtyckie wędzone.
SOBOTA 19 Konrada	Kapuśniaczek z kiełbasą. Brukselka z masłem. Gulasz węgierski /pörkelt/ z kluskami. Ruski krem z keksami. Kolacja: Parówki w sosie chrzanowo jabłecznym.



HOCKI-KLOCKI

STARE PRZYZWYCZAJENIA.



— To duch Bobusia, który przychodzi na swoją drzemkę popołudniową!
(„Le Rire").

STRASZNE ZAPOMNIENIE.



Paź do króla: — Najjaśniejszy Panie, alchemik prosił mnie, aby go zaczarować w królika, a teraz zapomniałem formułki, służącej do odzyskania ludzkiej postaci...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DOBRE POSTANOWIENIE.

W Nowy Rok, pięcioro dzieci państwa Kanarków postanowiło, że punktualnie o ósmej będą zasiadać do śniadania. Kto się spóźni, będzie musiał zapłacić pewną drobną karę pieniężną.

A więc Ala, najmłodsza, miała płacić za każde spóźnienie 10 gr., Bolek — 15 gr., Czesio — 20 gr., Dorotka — 25 gr., a Edek, najstarszy, 40 gr.

Troje dzieci spóźniło się po 3 razy w miesiccu, dwoje po 4 razy, a pieniądze zebrane z „kary" wynosiły całkowitą ilość złotówek. Ile każde z dzieci zapłaciło w ciągu miesiąca?

NA KONCERCIE.

Na jednym z koncertów, na które stale uczęszczał pan Kanarek, sala była przepełniona. Miejsca siedzące były dla trzech czwartych wszystkich obecnych, a gdyby osób było dwa razy mniej, wówczas w sali pozostałoby 175 miejsc niezajętych. Ile było miejsc siedzących i ile osób z panem Kanarkiem włącznie było na koncercie?

ZAPAŁKI.

Z dwudziestu dwu zapałek ułożono osiem kwadratów, tak, jak to wskazuje rysunek. Proponujemy czytelnikom usunąć sześć zapałek w taki sposób, aby pozostały tylko cztery kwadraty.

DZIWNA LICZBA.

Jaka to liczba, której suma kwadratu i sześcianu jest dwa razy większa od niej samej?

Rozwiązania z Nru 6-go.

BRIDŻ U PANA PÓŁNOC.

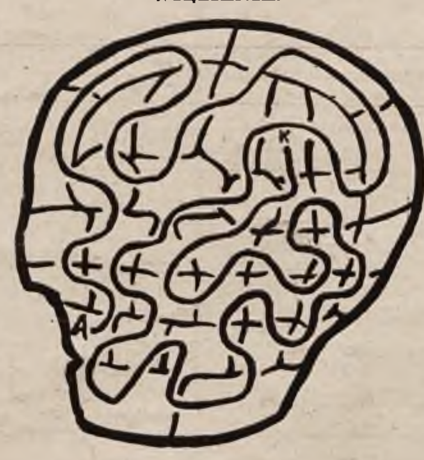
Pan Północ wygrał dwa robry, to jest tyle, ile razy był partnerem pana Zachodu.

Miejsca graczy w dziewięciu robrach były następujące:

Strony

	Północna	Wschodnia	Południowa	Zachodnia
1	Zachód	Północ	Wschód	Południe
2	**Zachód**	Południe	**Północ**	Wschód
3	Zachód	Południe	Wschód	Północ
4	Wschód	Północ	Zachód	Południe
5	Wschód	Południe	Zachód	Północ
6	Wschód	Zachód	Północ	Południe
7	Południe	Zachód	Północ	Wschód
8	Południe	**Zachód**	Wschód	**Północ**
9	Południe	Północ	Zachód	Wschód

WIĘZIENIE.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania. Wędrówkę należy rozpocząć z celi, oznaczonej na rysunku literą A, a bez trudu odnajdziemy celę królewny, oznaczoną litera K.

BILETY KOLEJOWE.

3 czerwone, 4 białe i 5 niebieskich.

Dokończenie ze str. 2-ej.

Kulig ten był jednym z najświetniejszych w Polsce, o jakich pamięć przechowała się w nielicznych tylko wspomnieniach i opisach tych minionych bezpowrotnie, a jakże miłych i pełnych romantyzmu czasach. Nic więc dziwnego, że kulig-szlichtada, kulig — zabawa staroszlachecka, był często tematem dla malarzy i poetów. Brandt, Kossak, Kowalski, Mroczkowski i inni pozostawili w swojej spuściźnie artystycznej dzieła, poświęcone dawnym zabawom zapustowym. W literaturze spotkać możemy kulig uczczony pięknym wierszem przez Słowackiego. Wspomina go i Żeromski w „Popiołach" i Malczewski wplótł między wierszami „Marji" remiscencje o nim:

My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie,
Lecim saniami
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty.
Czy znasz ty polskie zapusty?

Mgr. Br. Cetera.

TORT IMIENINOWY.

Gdy każde dziecko na imieninach Basi dostało po jednym kawałku tortu, zjedzono jego dwie trzecie. Dziesięcioro dzieci prosiło o jeszcze, toteż Basia podzieliła pozostałość na dziewięć równych części i rozdzieliła między swych gości. Kawałek, który każde z dzieci otrzymało obecnie, był takiej samej wielkości, jak i pierwszy. Ile było dzieci na imieninach Basi?

ZGUBIONE PARASOLKI.

Statystyka za rok ubiegły wykazała, że w stolicy Rulonii, roztargnione osoby pozostawiły aż 99.000 parasoli w tramwajach, autobusach i innych miejscach użyteczności publicznej. Jeśli założymy, że 4% z tych, którzy pozostawili parasole, zgubiło po 2 parasolki, że 2,5% — zgubiło po 3, i że 0,5% było aż tak niewiarygodnie nieuważnymi, że każdy z nich zgubi aż po 8 parasoli, to czy można obliczyć, ile osób ubiegłego roku zgubiło parasole w stolicy Rulonii?

STRAPIENIA ANARCHISTY.



Anarchista do służącej: — Wybaczam ci, że bierzesz lont do zatykania uszu, ale zabraniam ci surowo używania nitrogliceryny jako środka przeciwko odmrożeniom...
(„Ric et Rac").

NIEDOWIAREK.



Fałszerz pieniędzy do kolegi: — Przyszedł dostawca płyt na banknoty i prosi o zapłatę, ale tylko czekiem! („Ric et Rac").

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

LUCJAN RYDEL: „BETLEJEM POLSKIE" W redagowanej przez **Bolesława Pochmarskiego** i w pięknej szacie wydawanej przez **„Książnicę-Atlas"** serji utworów scenicznych **„Teatr Polski żywej"**, rozpoczętej szczęśliwie **„Gałązką rozmarynu" Zygmunta Nowakowskiego**, ukazał się obecnie drugi tom, który wypełnia **„Betlejem Polskie" Rydla.** Ten utwór — tak niestety zapomniany przez dzisiejsze teatry polskie — wiecznie żywy, pełen poezji i humoru, pełen akordów czystego patrjotyzmu i tak subtelnie stylizowany, powinien przecież zapełniać gwiazdkowe repertuary wszystkich teatrów! Może książkowe wydanie uprzystępni go i przypomni — przypomni jego zalety i wartość, tem-więcej, że ukazuje się w doskonałej redakcji i z uzupełnieniami aktualniemi świetnie stonowanemi z całością, opracowanemi przez **Tadeusza Kremera.** Trafne podejście i sporo ciekawych informacyj daje w przedmowie **Bolesław Pochmarski.** Wszyscy starsi „Galicjanie", pamiętający ten utwór ze sceny krakowskiej i tysiące dzieci w Polsce, nie mających przecież odpowiednich sztuk dla zachwytu swych małych serduszek — poczują głęboką wdzięczność dla wszystkich, którzy „Betlejem" Rydla wydobyli i przyczynili się do jego wydania, jeśli dopomoże ono do triumfalnego powrotu tego utworu na polskie sceny! **W. Z.**

NA SCENIE.

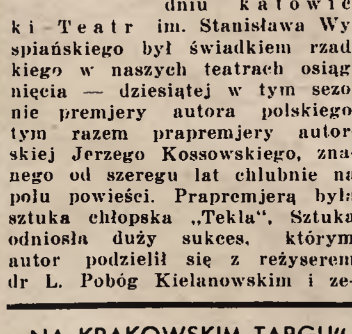
WARSZAWA. W reżyserji Osterwy i oprawie dekoracyjnej, opracowanej przed laty przez F. Ruszczyca — ujrzeliśmy **„Balladynę"** w Teatrze Narodowym. Wystawienie dzieła Słowackiego należy uznać za szczęśliwe posunięcia. Rolę tytułową grała Eichlerówna, dając typ raczej somnambuliczny, niż drapieżny. Dobrą Aliną była Lubieńska, Węgrzyn — Kostrynem, Białoszczyński — Kirkorem, Solski — pustelnikiem, Grabcem — Leszczyński, Kuncewiczowa — Goplaną.

W Teatrze Kameralnym dyr. Adwentowicz wystawił nową przeróbkę **„Anny Kareniny"** Tołstoja. Jak często bywa w takich wypadkach — powieść straciła w tych metamorfozach swój blask i urok. Pozostała rozbita na małe epizodziki — fabuła utworu, a więc sama kanwa. Na uznanie zasłużył dekorator Daszewski, który dużo zdziałał, aby w szczupłych ramach tej sceny i środków technicznych dać jaknajwięcej iluzyj... Trafnie zarysował postać Wrońskiego p. Strachocki, Adwentowicz — męża. Mniej przekonywująco wypadła tym razem p. Grywińska, jako Anna.

POZNAŃ. Teatr Polski wprowadził na scenę w reżyserji Wł. Czengery adaptację powieści Chestertona **„Człowiek, który był czwartkiem"**, znaną z warszawskiego Teatru Narodowego (reż. W. Radulski). P. Czengery starał się uwypuklić momenty „marzenia sennego", w jakie raz po raz zamienia się ten utwór. Koszmar łączy się z groteską. Z wykonawców trzeba wyróżnić p. Noskowskiego, Rosłana i Jasieczka. **J. J.**

KATOWICE. W ubiegłym tygodniu katowicki Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego był świadkiem rzadkiego w naszych teatrach osiągnięcia — dziesiątej w tym sezonie premjery autora polskiego, tym razem prapremjery autorskiej Jerzego Kossowskiego, znanego od szeregu lat chlubnie na polu powieści. Prapremjerą była sztuka chłopska „Tekla". Sztuka odniosła duży sukces, którym autor podzielił się z reżyserem dr L. Pobóg Kielanowskim i zespołem z Wandą Siemaszkową, Stanisławską i Marjanem Jastrzębskim na czele. Podobnego przyjęcia sztuki na tutejszym terenie nie widzieliśmy od słynnej premjery „Zygmunta Augusta". **W. J. D.**

„NA KRAKOWSKIM TARGU"
BAL ARTYSTYCZNY.



Studenci Państwowej szkoły przemysłu artystycznego w Krakowie wznowili tradycję dawnych stylowych balów, urządzając dnia 12 lutego w Sali Saskiej zabawę na tle dekoracyjnem, opartem na motywach architektury Sukiennic. — Dochód z zabawy, która powtórzoną będzie dnia 13, tj. w niedzielę, przeznaczony na cele „Bratniej Pomocy".

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 13 lutego.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transm. nabożeństwa z Torunia.
10.30 Opera „Pajace" z płyt.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.30 Muzyka obiadowa (z Wilna).
14.45 Audycja dla wsi.
15.40 „Wszystkiego potrochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Pieśni i piosenki włoskie w wyk. Marji Fiorenza.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 Słuchowisko „Człowiek za burtą".
19.20 „Tańczymy!" — muzyka z płyt.
21.15 „Były sobie świnki trzy... morskie" — Kukułka Wileńska.
22.00 Opowieść o Beethovenie (III audycja).

Poniedziałek, 14 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Edward Lalo: fragmenty z symfonji hiszpańskiej.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Lekkie melodje i piosenki (z Krakowa).
17.15 Recital skrzypcowy Kerttu Wanne.
18.10 Tito Schipa śpiewa piosenki (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Dyskutujemy: „Co myślimy o Kowalskich" — dialog.
20.00 Wielki koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert kameralny (wyk. Krakowski zespół instrumentalny).

Wtorek, 15 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Minjatury instrumentalne.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata" — aud. dla dzieci.
16.15 Chór Dana.
17.00 „U buszmenów" — pogadanka.
17.00 Muzyka kameralna.
17.50 „Zimowy strój rozwielitek", pogadanka.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Wieczór literacki, poświęcony Andrzejowi Strugowi.
19.30 „Polska twórczość chóralna" — audycja VIII.
20.00 Mozaika muzyczna.
21.00 Koncert symfoniczny (z Poznania).
22.00 Muzyka taneczna.

Środa, 16 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Śpiewa Michele Fleta — tenor (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Nad wielką rzeką Limpopo" — pogadanka dla dzieci.
16.15 Orkiestra rozrywkowa.
17.00 Szlakiem II Brygady — odczyt.
17.15 Zapomniane pieśni (z Poznania).
18.10 Muzyka (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 Piosenki ludowe.
19.35 „Dzieło prof. Stefana Czarnowskiego" — odczyt.
20.00 Muzyka taneczna (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Rozmowa K. Górskiego z T. Lopalewskim o poezji lirycznej, kwadrans poezji.
22.00 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.

Czwartek, 17 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 „Tańce różnych narodów", poranek dla młodzieży.
11.40 Claude Debussy: Rapsodje na klarnet i saksofon — płyty.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży.
16.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
17.00 Wiedza i książka: O książce Janiny Orynżyny p.t. „Przemysł ludowy w Polsce".
17.15 Tańczymy przy dźwiękach orkiestry wojskowej.
18.35 Aud. dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Słuchowisko F. Goetla: Anakonda S. A.".
19.40 „Palestrant" — operetka Millöckera.
21.45 „Wierzyński a młode pokolenie poetyckie" — szkic literacki.
22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego. Transm. z Konserwatorjum Warszawskiego.

Piątek, 18 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.45 Muzyka operowa — dyryguje Percy Pitt (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Jak pracują nasze mamy" „Praczka". — Transmisja z pralni.
16.15 „Kalejdoskop" — audycja muzyczna z Poznania.
17.00 „Spółdzielczy kotlet" — pogadanka.
17.15 Utwory fortepianowe i pieśni St. Kazury.
18:10 Wesołe uwertury (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Komedje Aleksandra Fredry (wieczór V) „Pan Benet".
19.30 Pieśni w wyk. chóru „Echo".

Sobota, 19 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Edward Grieg: Druga suita „Peer Gynt" (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Jak zabawa — to zabawa", karnawałowa audycja dla dzieci w wyk. zespołów dziecięcych.
17.00 „Henryka Stoffels w życiu Rembrandta" — feljeton.
17.15 Recital fortepianowy Lelii Gousseau.
18.15 Piosenki w wykonaniu Lucienne Boyer (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 „Kwiaty polskie" — koncert rozrywkowy.
21.00 Wielka wieczornica taneczna. — Transm. z Płocka.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.